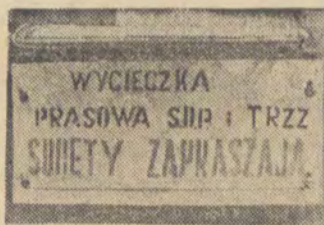




Ta miła chatka Baby-Jagi nie jest z bajki. Stoi w Bystrzycy Kłodzkiej. Malutka rzecz a cieszy oko
Fot. A. Izerski

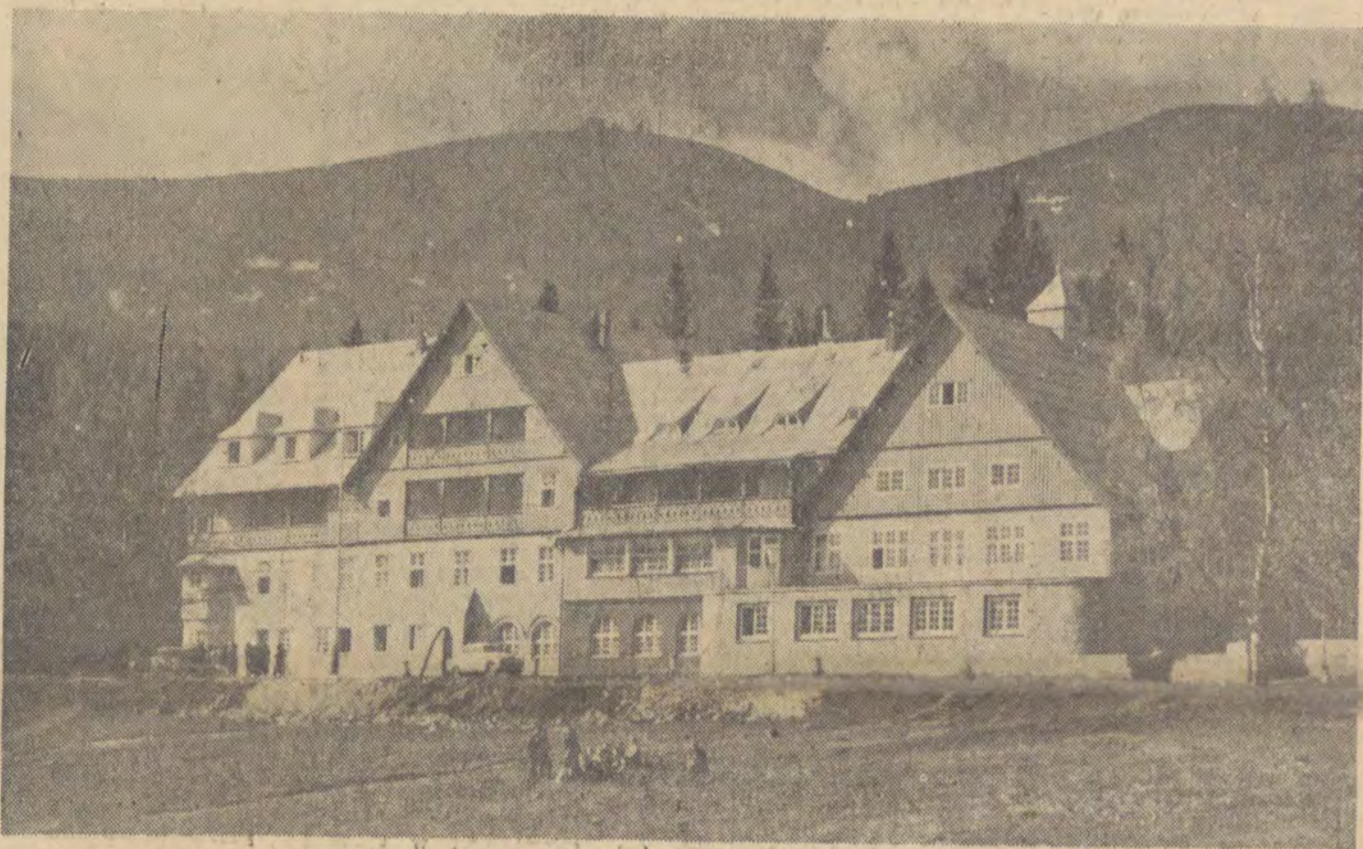


ZBIGNIEW
CHYLIŃSKI

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Lódź 10. VII.
1960 r.
Nr 27 (123)
Cena 1 zł

SUDECKI WYBIEG



Hotel górski „Orlinek” — widok z zewnątrz

Fot. J. Korpala

1
Człowiek w wiatrówce z odznaką przewodnika sudeckiego na kieszeni woła:
— Proszę państwa! Kto z kim udaje się na wczasy? To proste: lew z kociakiem, kogut — sam, a osioł z żoną...
...Tu Zakręś Śmierci, tam — Miłości, tu Góry Sowie, tam — Stołowe, a z Liczyrzepą było tak...

Nie słucham jak to było z Liczyrzepą. Pardon. Nie cierpię legend jako strawy dla turystów, mimo że p. Honorat Popiel opowiada sympatycznie. Deszcz siąpi. W „Karusie” zgiełk 40 dziennikarzy. (Czy państwo wiedzą, co to jest 40 dziennikarzy naraz?). Mgła. Nieposób dojrzeć, a tym bardziej kontemplować piękności sudeckiego krajobrazu. Chcąc nie chcąc kontemplując witzbajeczkę o zwierzętach niezwierzętach.

Myślę, że sens jej niekoniecznie musi być koprolaliczny. Wczasy to wyzolenie, a raczej złuda wyzwolenia. Od prozy codzienności. Od miejsca pracy i rozróbek. Od zgryzot w domu i humorów współpartnerów. Od zrzędzeń i rygorów. Wyjście z szarpalni nerwów. Mały płodozmian funkcji psychosomatycznych. Przerwa w eksploatacji akumulatorów. Ich ładowanie przez różnicowanie bodźców. Re-

generacja. Remont na ciepłarnianym, bocznym torze. Tak rzeczce fizjologia wypo-

czynku. To nie, że towarzyszy temu wielka maskarada. Ze buchalterzy grają bon vivantów, karawaniarze a negdotczyków, dzieciacie panie — żurnalowe cizie, a pantoflarze — Casanovych. Śmieszność nieautentyzmu jednoturnasowych królów i królewnych życia jest koszt-

tem własnym wyzwolenia. Ponuro autentyczna bywa za to urlopowa nuda. Nieumiejętność i niemożność indywidualnego organizowania czasu.

Człowiek niezdolny do doraźnych przeistoczeń, nie umiejący się odnaleźć w przypadkowej, urlopowej grupie i przyjąć jej konwencji, czujący się jak błędna owca w obcym stadzie, skwaszony, czekający na Godota, stanowi postać żałośniejszą niż tabuny „wyzwolonych”. Jest zmorą organizatorów wypo-

czynku. Bowiem samopoczucie zagubienia i wyobcowania, pustki i niedosytów, kwasy i irytacja, to w konsekwencji antywypo-

czynku. Widziałem tu, na Dolnym Śląsku, doskonały wykwił tej koncepcji. Nazywa się „Sonata”. Znajduje się w Dusznikach, skądinąd pełnych muzyki. Stanowi niby zdobycz chemików. Dom świeżo wyremontowany ma służyć rekonwalescencjom po zatruciach częstych w tym zawodzie. Czy służy?

Nigdy nie byłem dotąd poddawany chemicznemu truciu (wyjąwszy nikotynę i alkohol). Dzięki „Sonacie” umiem to przynajmniej sobie wyobrazić. Z wewnętrznych ścian strzelają rzadkiej jaskrawości bohomyzy. Jakieś próbówki i aorty, malunki syntez i reakcji. Wszystko to tworzy intensywny nastrój podniecenia. Widocznie, żeby pacjent nie zapomniał, kim jest i co go potem czeka. Na szczęście wyobraźnia anonimowego turycy wnetr na tyle okazała się uboga, iż zaoszczędził wypacykowania wzorów reakcji łańcuchowych i umieszczenia jakichś rozpylaczy gazów. Tylko dlatego

dom nie imituje dokumentnie laboratorium albo fabryki. Jeśli chemicy-rekonwalescenci wyjdą zeń mimo wszystko zdrowi, to tylko dzięki uprzedniemu już zahartowaniu.

Podpadł mi ten irytujący szczegół, bo klóci się z ogółem, że wszystkim, co widzę i co słyszę na trasie tego zwładu w krainie wczasowego „wyzwolenia”.

Jest tu na Dolnym Śląsku połowa dóbr wypo-

czynkowych kraju. Dzieje się w tym majątku wielki ruch. Robią go mądrzy ludzie, którzy wiedzą, że listonoszów nie należy pedzić na wycieczki piesze i że chodzenie to terapia gryzpiórków zagrożonych zawalami. Ze wszelką monotonią, stereotyp urlopowy: patelnia (przy pogodzie), dancing i schaboszczak jest antytezą ich zabiegów. Ze sztuka urlopowej kuchni, w dosłownym i przenośnym sensie, kultura wypo-

czynku polega na rozmaitości dań. Stąd mnogość propozycji. Wczasy trzytygodniowe, profilaktyczno-lecznicze z dostę-
pem do kąpiel i pijalni wód, wczasy normalne 14-dniowe i namiotowe dla cyklistów, wczasy dla matek z dziećmi, dla melomanów i danserów, brydżystów i szachistów, lingwistów i filatelistów, dla amatorów polskiej kuchni i cud-diety. Stąd też otwarcie izolowanych dotąd zakładów przyrodoleczniczych, mieszczących się przy sanatoriach, dla wczasowiczów dochodzących, dla kuracjuszy „luźnych”, bez skierowań.



Kudowa. Jedno z wielu miejsc do posiedzenia, pogadania i pooglądania

Fot. A. Izerski

(Dalszy ciąg na str. 3)

W NUMERZE
między innymi:

•
Sama główka
nie pracuje

•
Żeby każdy
woźny

•
był po trosze
filozofem

•
Pepek świata

•
Elita, masy
i dwuznacznik

•
Kryminał

Sama główka nie pracuje

Nie wiem, czy nasi dalecy potomkowie będą, jak to apetycznie przewidział p. Chyliński, składali się z samej wielkiej głowy w drewnianym stojaku oraz zminimalizowanej reszty w małym woreczku — natomiast jestem pewien, że jeśli chodzi o parę następnych pokoleń ludzkości, sama głowa może się nadać wyłącznie jako ozdoba w stojaku. Co więcej, wiele aktualnych naszych nieszczęść wynika z nadmiernego obciążenia, potocznie mówiąc, głowy i niedostatecznego obciążenia reszty.

Wszystkie niemal tzw. choroby wieku od hemoroidów począwszy a na zawałach serca skończywszy, mają swe źródła w aktualnym trybie życia. Tryb ten można w pewnym uproszczeniu sprowadzić do formuły: maksimum przyspieszenia przy maksimum bezruchu. Ciągłe nie mamy czasu i stale go doganiamy — kto tramwajem, kto Fiatem 600, kto odrzutowcem — napinając do biegu system nerwowy, serce, płuca, gruczoły, ale dzięki nowoczesnej technice wykonujemy tylko ruch „wewnętrznie”, bez lub przy minimalnym wysiłku mięśni; natomiast przy maksymalnym obciążeniu centralnego układu nerwowego.

Nawet w kraju nie najbardziej rozwiniętym jak Polska, praca fizyczna w klasycznym sensie jest w stadium zaniku. A cóż dopiero mówić o perspektywach? W ZSRR uruchamiają automatyczne fabryki, Amerykanie na Targach Poznańskich pokazują kuchnię elektryczną gdzieś w starej n. przesuwać ręką po włosach, żeby się kredeń otworzył. Nie należą do jaskiniowców, którzy wieszczą katastrofę ludzkości z powodu wynalezienia roboty do obierania marchewki. I chętnie bym się zgodził z p. Chylińskim, że

precz z muskulaturą, skoro jest nam już niepotrzebna, jak kiedyś przodkom stał się niepotrzebny ogon; i że niech sobie będzie głowa na stojaku dla przyszłych pokoleń. Gdyby nie drobny szczegół, że już w tym pokoleniu, teraz, aktualnie, prymat „głowy” nad resztą daje się gatunkowi homo sapiens we znaki. W związku z czym abstrahowanie głowy od reszty przypomina rozumowanie bohaterów wiersza Tuwima, którzy widzą wszystko osobno: „że Staś... że drzewo” itp.

Popelniając plagiat z jednego z własnych artykułów, użyję wyrażenia: „wielkie bombardowanie mózgu”. Wielkie bombardowanie mózgu, jego ośrodków nerwowych, ośrodków rządzących wyższymi częściami układu nerwowego, trwa wszędzie: w nowoczesnej fabryce, w centrali telefonicznej w gabinecie intelektualisty; a także na ulicy i w kinie. Często atakowane są bez przerwy te same centra. Choćby dyktorskie — zawały — mnożą się nie tylko wśród dyrektorów, a neurastenii przestała być monopolem poetów. Paradoxi, chcąc być wolnymi oswoiliśmy się z niewolą mięśni, aby natychmiast popaść w drugą niewolę: własnego systemu nerwowego.

„Człowiek — powiedział mi jeden z wybitnych polskich fizjologów — musi, ale to musi koniecznie spalać określoną ilość kalorii w ruchu. Inaczej cały jego organizm nie będzie normalnie funkcjonował. Ale — dodał już tonem bardziej intymnym — sam pan wie, że to teoria. Wiem to po sobie — nie zdobędę się nawet na kwadrans spaceru kiedy mam mało czasu i samochód do dyspozycji”. Głowa na stojaku nie nie działa bez prawidłowo funkcjonującego systemu nerwowego i gruczołów, a te nie będą działać sprawnie jeśli mięśnie spoczywa-



ją martwo jak śnięta ryba. Prędzej czy później nastąpi katastrofa.

Fizjologia i medycyna współczesna coraz częściej radzą — zamiast leżenia brzuchem do góry w chwilach wypoczynku — ruch, który przywraca równowagę organizmowi.

I tu dochodzimy wreszcie do sportu. Ciekawe, że Szanowni Przedmówcy poruszyli ziemię i Olimp, moralność i psychikę narodową, podzielił się na zwolenników Krzyszkowiaka i jego wrogów, ale jakiś najbardziej ludzki, że tak powiem „życiowy aspekt „sprawy sportu”, uszedł ich uwagi. Nawet obrońca sportu, Stanisław Dygat, bronił go wyłącznie ze stanowiska kibica.

Niekoniecznie trzeba rąbać drzewo. Można np. czasem odwiedzać basen, kort, stadion.

Ba, ale baseny, korty, stadiony są u nas pełne, aż za pełne, o co tu kruszyć kopie? Tak, tylko, że omijają je skrętnie ci, którym były by one wręcz niezbędne. Tzn. ludzie których „głowa” jest najbardziej obciążona i — ludzie po trzydziestce. U nas (czy tylko u nas?) uprawia się sport do lat — ja wiem? — w najlepszym razie do dwudziestu pięciu.

Wolałbym może w kierunku władz sportowych o litosć dla ołdboyów, gdyby ołdboy'e sami mieli litosć nad sobą. Cóż kiedy ołdboy'e uważają, że im wystarczy głowa na kiepskim stojaku.

Wydaje mi się, że sport nie ma co się tłumaczyć ze swego istnienia. Pod warunkiem, że nie będziemy jak ów doświadczony staruszek, który wyliczając skomplikowane igraszki miłosne, zapomniał, że tak powiem, o podstawowej i uświadomionej sobie nagle, że poza widowiskiem, podniecia i kuźnia „bohaterów dla mas”, sport jest jeszcze ruchem, który daje człowiekowi przyjemność i pożytek; zwłaszcza człowiekowi w epoce „witaj brzusi”.



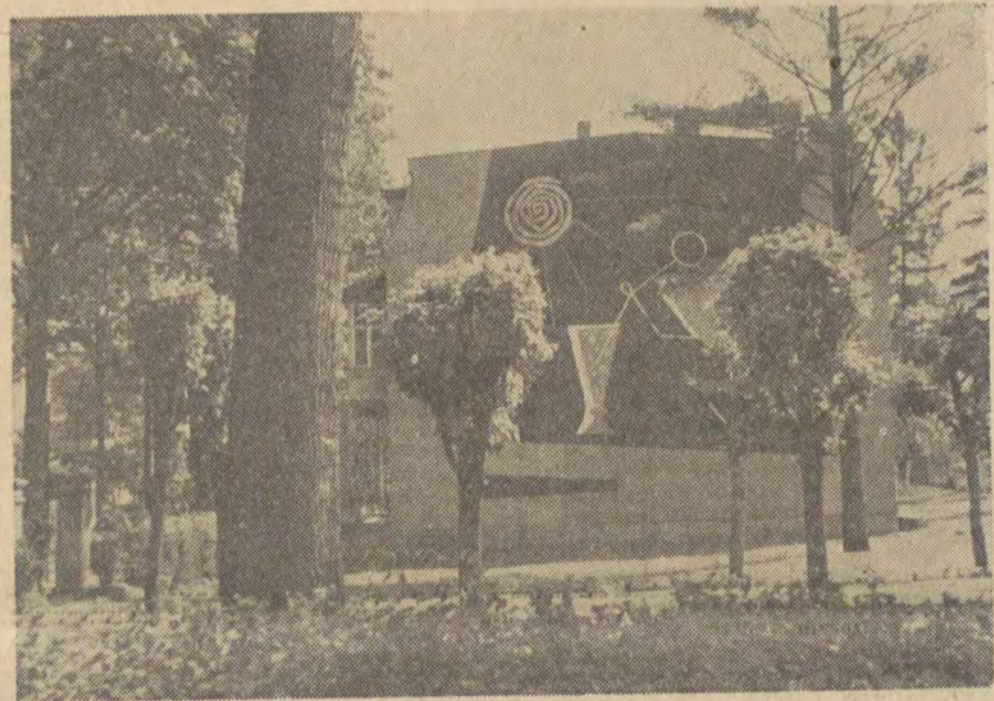
ZDROJOWISKA REJONU SUDECKIEGO (czarny kwadrat):

- Cieplice Śl.
- Czerniawa
- Długopole
- Duszniki
- Jedlina
- Kudowa
- Lądek
- Polanica
- Przerzeczn
- Szczawno
- Świeradów

WCZASOWISKA REJONU SUDECKIEGO (biały kwadrat):

- Bierutowice, Karpacz, Kowary, Michałowice, Międzygórze, Oborniki Śl., Przesieka, Sobótka, Sokolec, Sokolowo, Sosnówka, Szklarska Poręba, Wojtków, Zieloniec.
- Miasta powiatowe — czarne punkty
- Sudety i Przedgórze Sudeckie — linia przerywana
- Szlak turystyczny — linia przerywana uzdłuż granicy.

(Mapka z Biuletynu Instytutu Urbanistyki i Architektury Nr 8—9)



„Sudecki wybieg” jest terenem ekspansji nowoczesnej plastyki. Kolorowe domy, gustownie pomalowane ściany, ze smakiem wystrojone wnętrza klubów i kawiarni. Na zdjęciu: zewnętrzna ściana Klubu Wczasowego w Kudowie.

Nasza szkoła

ŻEBY KAŻDY WOŻNY BYŁ po trosze filozofem

Odwiedziłem znajomych, którzy dostali nowe mieszkanie „w blokach”. Nim opowiem, co to za mieszkanie, zwierzę się z pewnych ogólnych refleksji. Otóż pomyślałem sobie w trakcie tej wizyty, że prosty architekt w większym stopniu jest, a już na pewno może być, „inżynierem dusz ludzkich” niż pisarz, mówca, dziennikarz, ksiądz czy działacz społeczny. I że rela działaczy społecznych byłaby równie pomocnicza jak np. laboranta wobec uczonego konstruktora, gdyby nie to, że powinni oni inspirować konstruktorów. Tyle, że reprezentanci wszystkich wymienionych zawodów cierpią na obłą labo- rantom megalomanie, wynikającą z wiary w magiczną sprzymierzeńców w wielu decydujących o kształcie życia działaczach społecznych, którzy także wierzą, iż lekarstwo propagandowe jest najskuteczniejsze bo najłatwiejsze do ordynowania.

Laskawy Czytelniku będzie uprzejmy się nie bać. Nie mam zamiaru prawić, że byt określa świadomość, a częśćka bytu, pt. nowe mieszkanie unowocześnia częśćkę świadomości, szczególnie, jeśli sprawnie działający komitet blokowy nie pozwoli nowemu lokatorowi na za- instalowanie świni w łazien- ce.

Uważam, że architekt planując rozkład mieszkania może i powinien czynić to, tak, a nie inaczej, nie tylko mając na względzie potocz- ną wygodę lokatorów i ekono- mikię budownictwa, ale również model obyczajowy, model życia rodzinnego, któ- rego jest pośrednim, ale bar- dzo ważnym współtwórcą. Jednym słowem planując mieszkanie — planuje on zarazem życie przyszłym lo- katorom swego domu. A tego — boję się — architekt świadom nie jest.

Charakter wnętrza mieszk- kalnych kształtuje m. in. za- mówienie społeczne. Inaczej ono wygląda w różnych re-

gionach i w zależności od grupy społecznej, do której należą lokatorzy. Wiadomo np., że śląscy górnicy potrze- bują do szczęścia mieszkania złożonego tylko z pokoju i kuchni i to niezależnie od tego, jak liczna jest rodzina. Ale chcą oni, żeby ta kuch- nia i ten pokój były bardzo duże. W kuchni się bowiem je i siedzi całą rodziną, tu pracuje pani domu, wy- poczywa jej mąż, bawią się dzieci. Pokój służy wszyst- kim do spania. Załadnia go mnogość łóżek, do których przydany jest stół, używany z okazji przybycia gości, od wielkiego dzwonu.

I teraz my, to znaczy re- prezentacja społeczna mają- ca w stosunku do swych mandatariuszy ambicję prze- myślanego wychowania, wy- stępujemy w stosunku do górniczej a szerzej mówiąc robotniczej rodziny (bo te gusta i nawyki mimo pro- centowej przewagi w Łodzi mieszkań jednoizbowych można odnieść i do włókniar- zy) z całym systemem po- stulatów. A więc chcemy, żeby pan domu czytał lite- raturę fachową, gazetę, że- byśmy chcieli, ma prawo sama wybierać sobie model życia, sposób spędzania cza- su. Nie mamy moralnego „rawa odbierać jej wolno- ści wyboru. Możemy tylko coś sugerować, na coś na- mawiać. Nie jest tedy rze- czą przewyborną dawać jej mieszkania trójklitkowe ta- kie, jakiego nie chce, a ta- kie, o jakim marzą ludzie pracujący umysłowo. Oczywiście, nie jest to dylemat nie do rozwiązania

zarówno w tym mieszkaniu- wym przypadku, jak i w o- góle. Pozytywne wyjście, ja- kie proponuję, ma charak- ter bardzo uniwersalny i nadaje się do rozwiązywa- nia wszystkich antagonisty- cnych problemów. Nosi ono nazwę: kompromis.

Można skonstruować miesz- kanie, które z jednej stro- ny zaspokajałoby kolektyw- nizm obyczajowy robotni- czej rodziny, ergo jej potrze- by, z drugiej zaś strony su- gerowałoby ewolucję, da- wało możliwość pracy umy- słowej, wypoczynku w sa- moocie, izolacji i wpro- wadzało przynajmniej mini- malne, niezbędne korektury do modelu życia domowego.

Mieszkania takie są bu- dowane. I właśnie jedno z nich zwiedziłem. Kuchnia jest w nim wmontowana w największy pokój, oddzielo- na odeń ścianą zaopatrzoną w szybę tak, że pani domu będąc w kuchni jest nieja- ko obecna w pokoju. W du- żym pokoju wszyscy się od- biedy pomieszcza, ale są jeszcze dwie małe ciupki, w które, jeśli się komuś życie rodzinne sprychnię — moż- na wskoczyć. Architekt na- kazał: oddzielnie dzieci, od- dzielnie rodzice, którzy ma- ją po nocach swoje tam sprawy.

A więc wszystko jest w porządku poza jednym nie- porządkiem, że przy roz- dziale nikt nie zastanawiał się, co komu i dlaczego. Mój znajomy — człowiek pracujący umysłowo w do- mu i mąż żony też pracu- jacej umysłowo i też w do- mu, kłnie amfiladę, kłnie

kuchnię w pokoju i w ogó- le kłnie, bo chciał trzech małych pokoiików odzilo- wanych, każdy sobie. I kłnie też jakiś robotnik, który dostał mego znajomego wy- marzone mieszkanie. Nikt bowiem nie pomyślał, że przydzielenie mieszkania nr 18 a nie mieszkania nr 19 jest ważnym aktem pedago- giki społecznej. Tak jak ża- dne biuro architektoniczne planując nowe domy pomy- ślałszy ile i czego, nie pomy- ślało, dla kogo i dlaczego.

Na koniec ezuje się w o- bowiązku podkreślić, że wy- chowanie społeczne w ogóle zależy od sumy drobnych i zda się nieważnych czyn- ności skromnych pracow- ników, takich jak ten urzęd- nik z administracji, co roz- dziela mieszkania.

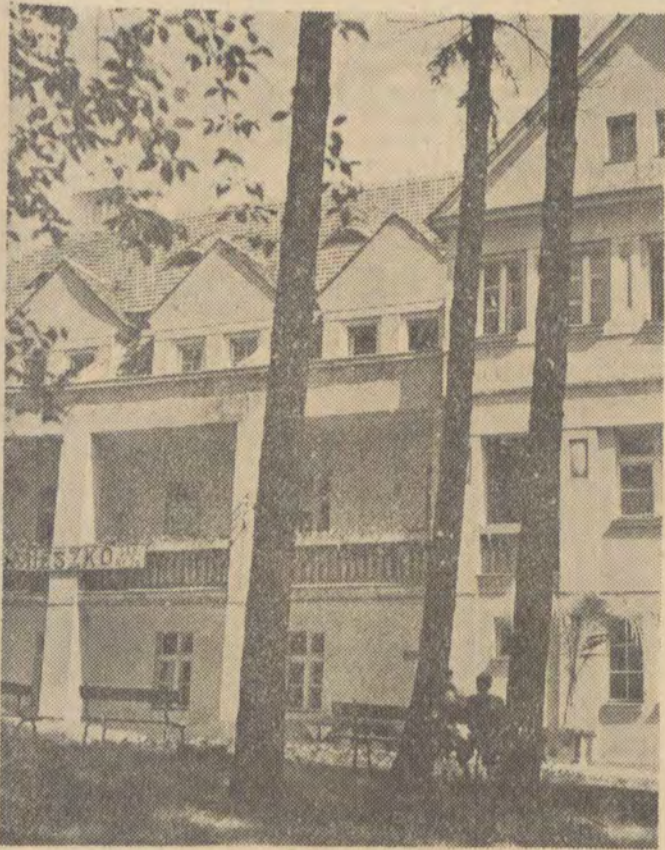
I że marksizm, to również to, żeby w odpowiedniej po- zycjalni miast wywieszki „Nie rzucać niedopalków na podłogę” ustawiać popiel- niczki. Bo nie przez przypa- dek system światopoglą- dowy, który każe dokony- wać takiego a nie innego wyboru między wywieszką a popielniczką, zmienia świat i kształt społeczeństwa.

Ważna sprawa tempa tych zmian wymaga wszak- że jak widać, żeby każdy wożny był po trosze filozo- fem. I vice versa.

BELFER

ZA TYDZIEŃ WYKLAD BELFRA NA TEMAT: CZY LEPIEJ, BY MALZEN- STWO JECHAŁO NA WCZASY RAZEM CZY OSOBNO?

SUDECKI WYBIEG



Sanatorium „Mieszko”.
Fot. Lechosław Ślusarczyk.

pod biura nadleśnictwo, którego także ani rusz.

Spory o racjonalną gospodarkę lokalami są utrapieniem nr 1 dolnośląskich władz. Spierać się muszą akurat najmniej z CRZZ, ściślej z podległym jej FWP. Bo w końcu FWP musi podierać gałąź, na której siedzi. Gorzej z innymi instytucjami centralnymi, obdzielonymi swego czasu hojnie budynkami, które od lat są niekonserwowane. Zresztą, tu chodzi nie o samą konserwację domów. Chodzi o kompleksową gospodarkę przestrzeni, porządek, czystość, ład. Centralne instytucje użytkujące dobra tej przestrzeni nie chcą zrozumieć konieczności dokładania do wspólnego kółła. Mimo wyraźnych uchwał rządzą na ten temat.

— Dajemy im garnitur — skarżą się dolnośląscy gospodarze — a oni nie uznają wydatków na szczołkę do butów. Przecież codzienna kcsmetyka nie jest kaprysem doraźnego wyglądu i podobania się. Jest zapobieganiem przedwczesnemu starzeniu się i niszczeniu.

— Nie mamy imperialnych zapędów — ciągną dalej — i nie chcemy pozbawiać chleba cezetów, ale doprawdy dotychczasowe zdalne sterowanie nie wyszło nam na zdrowie. Argument? 34 obiekty w powiecie bystrzyckim w ogóle niewykorzystane i ponad 100 niewłaściwie wykorzystanych. W Jeleniogórskim conajmniej kilkanaście tzw. domów reśortowych, posiadających w sumie ponad 2 tys. miejsc, załadnia się tylko w okresie wakacyjnym.

— Nie chcemy ciągnąć z kieszeni władz państwowych — powiadają wreszcie — bo mamy własne dojne krowy, lecz chcemy nimi w pełni rozporządzać.

Ta aspiracja leży w sferze rzeczy, nie „zaszczytów”. Mają ją ludzie nawykli posługiwać się ołówkiem.

I nowe miejsce hotelowe kosztuje 40 tys. złotych. Przystosowanie i miejsca noclegowego w domu chłopca 3 tysiące złotych. Ergo oplaca się inwestować w bazę noclegową, pozostającą w gestii chłopów. Po trzykroć się oplaca. Po pierwsze, da to tania tysiące miejsc; po większy szanse na wczesny rodzinny, zupełnie niedorozwinięty w naszym kraju, a tak niezbędny z uwagi na określony model życia robotników. Po wtóre, doinwestuje się rolnictwo, co jest zbawienne samo przez się. Po trzecie — ustabilizuje ludność.

Przepraszam za tę kalkulację. Cytuję ją z szacunku dla posługujących się ołówkiem autorów „eksperymentu jeleniogórskiego”.



Motyw Parku Zdrojowego w Szczawnie.
Fot. Lechosław Ślusarczyk.

Powiedziano tu sobie przed dwoma laty: Naszym bogactwem są góry, szczyty, przełęcze, szlaki, widoki, wodospady, wody, zasób obiektów turystycznych, więc mamy co eksploatować. Oznacza to priorytet turystyki, związane z nią przemysłu, handlu, usług, rolnictwa itd. Nie chcemy dotacji. Pragniemy oprzeć budżet na dochodach własnych przedsiębiorstw i udziałach w dochodach zakładów kluczowych. Chcemy mieć środki w naszych rękach i rozporządzać nimi kompleksowo. Konkretne ogłoszono w 117 „Tezach Jeleniogórskich”.

Dziś większość z nich jest faktem. Funkcjonuje Powiatowe Przedsiębiorstwo Usług Turystycznych, pozostające na budżecie Powiatowej Rady Narodowej. Jako takie jedyne w Polsce. Dysponuje ono własnym Hotelem Górskim („Orlinek”), posiada własne autokary, organizuje rozmieszczanie luznych urlopowiczów w kwaterach prywatnych (z wyżywieniem) szczególnie u rolników. Urządza aktualnie drugi hotel turystyczny („Mały Orlinek” w Karpaczu) oraz „Ośrodek wypoczynku wodnego” w Bierutowicach. W tym roku PPUT „Turystyka” przyniesie dochód.

Przyporządkowano turystyce wielki przemysł. „Celwiskoza”, dająca połowę krajowej produkcji włókna wiskozowego i 15 milionów dolarów rocznie, przestała truć powietrze „Fabryka fabryk” papierniczych produkująca dla Turcji i Chin, huty i szlifiernie kryształów, eksportujące do USA, Danii, Kanady, Szwecji, Anglii znakują swą produkcję insygniami lokalnymi.

Ziemia Jeleniogórska zaczęła żyć z turystyki. Przeciętny dochód na zatrudnionego przewyższa średnią krajową o 200 zł. Każdy wczasowicz zostawia tu przeciętnie od 300 do 500 zł, turysta 200, kuracjusz 400. Transfer pieniądza w porównaniu z rokiem 1957 wyniósł już w ubiegłym roku — 185 procent.

Udany eksperyment władzy, samodzielności i inicjatywy gospodarczej inspiruje. Powiat bystrzycki stara się o uznanie go za region nie jak dotąd rolniczo-przemysłowy, lecz właśnie turystyczny. Posłowie ziemi dolnośląskiej postulują generalną zmianę systemu zarządzania dobrami wypoczynkowymi. W myśl owych postulatów sprawy eksploatacji wszystkich obiektów, łącznie z majątkiem FWP, winny się znaleźć w rękach rad narodowych. Centralnym instytucjom pozostałoby rozdzielnictwo skierowań i związane z tym operacje finansowe.

Tak to wygląda sudecki wybieg od strony kłopotów władzy. Przypną — aspekt mało atrakcyjny dla turysty.

3

Nie założyłem sobie wszak że „reklamówki”. Postawy rozkochania w urokach własnej ziemi i zaangażowania w jej najlepsze urządzenie — nie da się reklamować. A tę postawę prezentują nasi dolnośląscy współziomkowie. Popadli przy tym w pewien kompleks. Chorobę na zagraniczników. Choroba wielce zaraźliwa i sam zacząłem jej ulegać. Przez Słone.

Słone to nazwa punktu granicznego pod Kudową. Akurat tędy biegnie autostrada Mediolan — Moskwa. Umyka przezeń ponoć 800 turystów zagranicznych dziennie nie zatrzymawszy się w Kudowie, Polanicy i Dusznikach. Boleją na tym ich ojcowie. I snują plany zatrzymania. Trzeba by na to bardzo drogich inwestycji. Po prostu luksusowych restauracji, hoteli i moteli, obsługi europejskiej klasy. Bo sam krajobraz nie wystarczy. Na inwestycje takie nas w tej chwili nie stać. Stać nas wyłącznie na to, co szybko i na pewno się rentuje. Tu tań na dwoje babka wróży. Jeżeli zachód mimo wszystko będzie wolął Włochy i Szwajcarię? Uszczuplać sanatoriów też nie wolno.

Zresztą sanatoryjny reżim nie jest dla zagraniczników. Nie jestem oczywiście, przeciw cywilizacji w Słone. Przeciwnie, myślę, że w Słone warto inwestować. Lecz w miarę, nie za słono. A z dewizami to już w gruncie rzeczy wszystko jedno. Nie pozostawia ich zagranicznicy w Polanicy, to puszczają we Wrocławiu.

Dlatego w końcu trafiła mi do przekonania hasło: SUDETY DLA POLAKÓW. Z kraju i zagranicy. Polonię można ściągać (co już się zresztą robi). Zwłaszcza amerykańską, zwłaszcza lekarzy polonijnych. Niech potem na obczyźnie zalecają naszą rzeczywistość znakomite uzdrowiska.

I jeszcze raz „Sudety dla Polaków”. Opodał staję Turroszów (12 tys. ludzi), kopie się Lubień. Niechaj sudecki wybieg będzie także dla nich.

Sudety zapraszają. Mają do czego. Jedźcie. Spotkamy się w górach Izerskich, na Śnieżnych Kottach, pod Małą Fopą, w „Samotni” lub „Szwajcarce”, w „Relaxie” albo „Colombinie”, w „Orlinku” małym albo dużym. Wszystko jedno gdzie. Byłe wczasowo „wyzwolenie”.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Powstaje dla tej bazy domowo-lózkowej gigantyczny wybieg, mogący zadowolić i rozruszać najwybredniejszych naszych współobywateli. Pod niepisany hasłem „ANTYNUDA” tworzy się mnóstwo możliwości, pokus, miejsce pod słońcem do wyboru i koloru, do posiadzenia, pogadania i pooglądania, hasania i zabawy. Co najważniejsze — miejsce dostępne dla kieszeni przeciętnego śmiertelnika. Nie ma tu żadnych cen specjalnych, znanych z Krynicy i Zakopanego. Kluby, kawiarnie, ogródki pod parasolami, czytelnice pism i książek, salony z telewizorami, różne mechaniczne gry, hale koncertowo-spacerowe, świeżo poznakowane szlaki turystyczne — wycieczkowe, schroniska, campingi, pływalnie, tory saneczkowe, narciarstwo, wyciągi na główne szczyty, parkingi, stacje benzynowe — cała cywilizacja i kultura wypoczynku.

Mówię: „powstaje wybieg”, lecz nie oddaje to rozmachu krzątania gospodarzy. Wprawdzie nie wszystko stawia się od fundamentów. W większości są to adaptacje i remonty. Najczęściej jednak kapitalne. Substancja mieszkaniowa liczy sobie średnio lat sześćdziesiąt. Mur pruski nie należy do najtrwalszych. Niemcy tu prawie nie inwestowali. U nas to też niszczało pod okiem kilku gospodarzy. Bo do niedawna jeszcze uzdrowiska sobie, wczasu sobie, petetek sobie i rady narodowe sobie. Obecny rozmach wynika z integracji władzy. Z tym, że ten rozdział wcale nie jest zakończony.

Znacie ten sposób? Znacie, znacie... Krytykujący mówią, że w maszynie nie podoba mu się śrubka. Krytykowany replikuje: wam się socjalizm nie podoba!

Na trasie między Kłodzkiem a masywem Śnieżnika, leżącej blisko 50 kilometrów, nie ma ani jednego punktu turystycznego. Na owej trasie licznie odwiedzanej przez „passentów”, leży Łądek-Zdrój, w nim okazały dom Funduszu Wczasów „Chorzowianka”. Wścisłszy ojcowie powiatu bystrzyckiego wypatrzyli, iż dom ten nie jest najwłaściwiej wykorzystywany. Nawet w sezonie letnim świeci pustką. Bywało, że w piwnicach „Chorzowianki” składowano... lód. Ktoś wpadł na pomysł, żeby z „Chorzowianki” zrobić turystyczny hotel. Miejscowy zarząd FWP nie oponował. Natomiast sprzeciwiła się CRZZ. „Chcicie pozbawić klasę robotniczą zdobyczy socjalnych?! Hm!”. I rzeczywiście hm... Mocny szantaż nie ugiął jakos władz lokalnych. Kukaly one i kukaly. W końcu znużeni sześciolatnim sporem, zmyślni związkowcy z centralnego szczebla zadali ostatecznego szacha. Przemianowali „Chorzowiankę” na... „Sielankę”. W ten sposób dalej nie ma sporu. Hotelu też.

Takie sielanki nie należą do rzadkości. Potrzeba hotelu turystycznego istnieje również w Międzygórzu. W tej miejscowości słynnej z „Wodospadu Żeromskiego” stoi budynek wymarzony pod schronisko. Zajmuje go



Krajobraz sudecki.

Fot. A. Izerski.

DUSZNIKI-ZDRÓJ

- lecznictwo
- wypoczynek
- turystyka
- rozrywka

FWP

Duszniki leżą na skrzyżowaniu dróg turystycznych pięknej Ziemi Kłodzkiej. Od ubiegłego roku cieszą się statusem „uzdrowiska międzynarodowego”, choć nie mają np. przyzwoitej restauracji, a wieczorem z uwagi na brak połączeń kolejowych niesposób się z nich wydostać. W tej pięknej miejscowości, szczytując się faktem, że koncertował tu na cele dobroczynne 16-letni „Frycek” i cierpiący na kompleks niższości wobec Polanicy i Kudowy — trwają obecnie intensywne przygotowania do kolejnego Festiwalu Chopinowskiego. Rozpocznie się on 15 sierpnia w modernizowanej sali koncertowej, zgromadzi szereg wybitnych wykonawców. Zapowiedzieli swój udział m. in. Irina Zarickaja i Ryszard Bakst Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Broszkiewicz i Jerzy Waldorff mają prowadzić przed publicznością „Rozmowy o Chopinie”.

WYCIECZKA
PRASOWA SDP i TRZZ
SUDETY ZAPRASZAJĄ

odpisy str. 3

Małe księgarnie

Idąc ulicą Piotrkowską, jedną z najładniejszych ulic Łodzi, którą przynajmniej za taką się uważa, w każdym razie „pryncypalną”, można natknąć się na nieoczekiwane zjawisko: na brak kiosków z gazetami. Na długiej trasie od Placu Wolności aż do ulicy Andrzeja stają za ledwie dwa kioski. Przedtem było ich więcej, przedtem, to znaczy przed epoką malowania i upiększania, kioski stały gęsto, niemal przy każdym skrzyżowaniu ulic, co dziesięć kroków można było kupić gazetę. Powiadali odpowiedzialni architekci, budki szpecą ulicę, szpecą miasto, kazali wyrzucić kioski, pomalowali ulicę, upiększyli. Kioski są brzydkie? Stwórzmy inny model kiosku, harmonizujący z architekturą ulicy, nie wyrzucajmy go. Sądzę jednak, że najbrzydsza budka z gazetami nie szpecą ulicy, gazety nie szpecą, gazety należą do niezbędnych rekwizytów ulicy, ulica jest chłodna, kiedy nie ma na niej kiosku z gazetami, jest obca, choćby ją tasiać nocnym oświetleniem, nie takich jeszcze jak w Łodzi, choćby co dwa kroki stała kawiarnia. Wyrzucili kioski z Piotrkowskiej, taka sytuacja musi być źródłem nieustającego zdziwienia dla przechodnia. Nie życzą sobie

kiosku na Piotrkowskiej niektórzy architekci, dobrze, nie chce zezwolić na uruchomienie kiosku z gazetami przy swojej „nieruchomości”, w punkcie bardzo ożywionym, Piotrkowska róg 22 Lipca, Izba Adwokacka, dobrze, kto jeszcze nie chce oglądać kiosków na Piotrkowskiej, policzmy, nikt chyba więcej. W całej Polsce jest przeszło jedenaście tysięcy kiosków „Ruchu”, to był stan na 31 marca, dziś jest około dwunastu tysięcy, kioski mnożą się jak przysłowiowe grzyby, gazety są potrzebne ludziom. W naszym województwie jest 743 punktów sprzedaży gazet, w mieście 312, z tym że cyfry te zmieniają się prawie co tydzień, rosła, i że centrum miasta, Piotrkowska, jak powiedzieliśmy, jest upośledzona, chyba nie dla wyrównania innych anomalii, że tu skupiły się najważniejsze instytucje, czy jak tam powiedzieć, „centra” życia gospodarczego w Łodzi. Trzysta dwanaście kiosków, to sto dwanaście milionów złotych obrotu (w detalu) za jeden kwartał, pół milarda za rok. Tego obrotu nie przysparzają same gazety, gazety stanowią 22 procent całej masy towarowej przerzuconej przez kioski, ale tych proporcji, 22 proc. gazety i 78 proc. in-

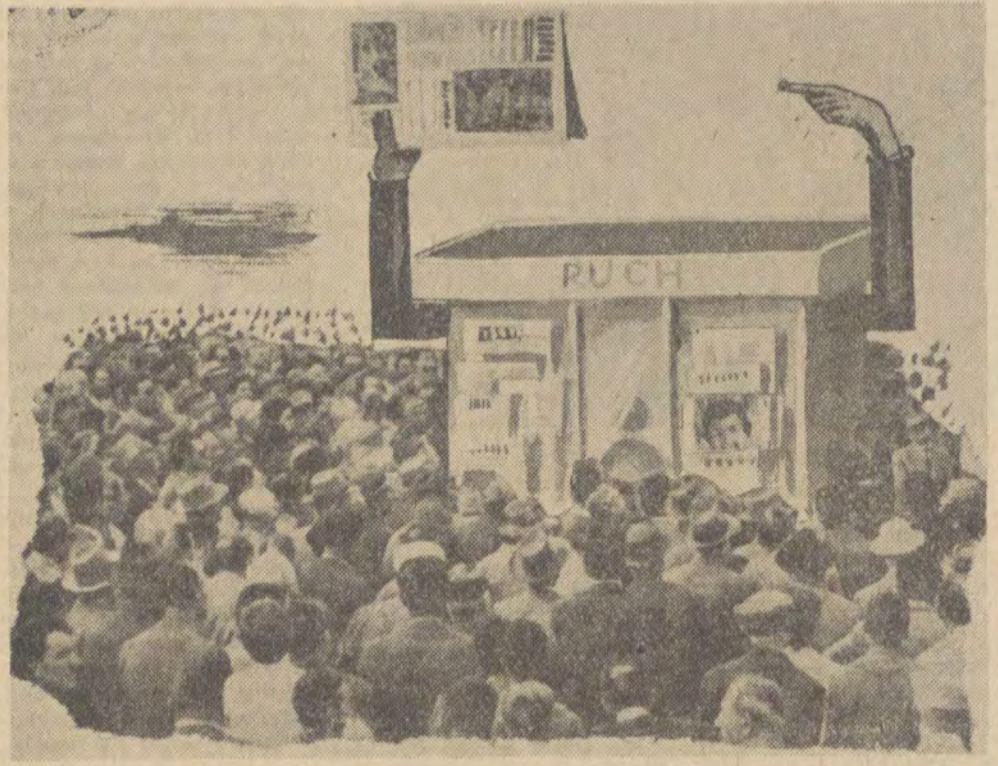
ne towary („codziennego użytku”), nie można przeciwstawiać, to co nadaje koloryt, barwę, co jest „duszą” kiosku, to przede wszystkim gazeta, nie zawsze opłacalna w sprzedaży: „Ruch” na przykład otrzymuje za „Głos” czy „Dziennik” 13,5 gr., a wysyłka pocztą kosztuje 14 groszy. Półgroszowe różnice przy wielotysięcznym nakładzie nie jednej gazety, nie jednego tytułu, urasają do dużych sum. Tych proporcji nie można zważyć, o charakterze kiosku nie decyduje mydło do go'enia, a gazeta. Te małe księgarnie spełniają dużą rolę w życiu ulicy, one u'atwiają życie, kiosk z gazetami to nie tylko placówka mechanicznego kolportażu, nie tylko ogniwo w systemie rozprowadzania prasy i książki, miejsce zaspokojenia potrzeby lektury. Praca sprzedawcy w kiosku jest bardzo odpowiedzialna, sprzedawca ma bezpośredni kontakt z odbiorcą, nad stosunkiem przechodzień — sprzedawca, nie powinien ciążyć ciasno pojęty interes merkantylny, sprzedawca musi zazwyczaj występować w roli doradcy, doświadczonego doradcy, w kiosku często „realizuje się politykę na codzień”. Poprawna koncepcja to dopiero połowa drogi, umiejętne jej realizowanie

to etap drugi, zależny w dużej mierze od sprzedawcy, od jego doświadczenia, nie wiem czy wszyscy mają to doświadczenie. Przechodnia zazwyczaj nie interesują sprzedawcy, nie zna jego twarzy, rzuca jak do automatu pięćdziesięciogroszówkę i żąda w zamian gazety. Sprzedawca przyjmuje czasem tę rolę i nie wychodzi poza nią, ale tak dzieje się coraz rzadziej, powinno dźać się coraz rzadziej. W ocenie kioskarza nie powinna decydować wyłącznie jego sprawność handlowa — kupiecka (mieści się w niej także umie-

jętność urzędnika kiosku, szczegóły natury techniczno-graficznej, które wizualnie oddziałują na przechodnia), ale także umiejętność nawiązania rozmowy z kupującym, poznanie jego zainteresowań i gustów, podsuniecie mu odpowiedniej lektury, zainteresowanie problematyką dnia, która znajduje takie czy inne odbicie w piśmie. To są sprawy nie łatwe, dochodzi się do nich powoli, ale są takimi kioskarkami „Odgłosy” często otrzymują wypowiedzi listowne, nawet telefony, rozmówcy zwracają uwagę na

pożknięcia graficzne, zle umieszczenie tytułu, które przeszkadzają im reklamować pismo.

Praca kioskarza jest ciężka, nie wchodzi tu w rozważania natury finansowej, mówię o dniu pracy, od wczesnych godzin rannych do nocy. Kioskarze mają tylko dwa dni wolne w roku, nie mają świąt, praca kioskarza jest trudna, ale niezbędna, kioskarze związani są z krajobrazem łódzkiej ulicy, potrzebni są tej ulicy, coraz bardziej są potrzebni.



JERZY DAGOBERT

Baronowa Anna Wolkoff

Dokończenie

ATELIER FOTOGRAFICZNE

Albert Canning, inspektor tajnej policji zameldował swemu przełożonemu, że we dług jego obserwacji romans dyplomaty amerykańskiego z piękną baronową posiadająca bardzo określone aspekty. Na ogół spotkania w mieszkaniu baronowej nie były finałem jakichś nocnych zabaw, odwiedzin w klubach czy teatrach. Kent pozostawał u baronowej po każdorazowym wspólnym pobyście u pewnego fotografa. Fotograf mieszkał na odległym londyńskim przedmieściu.

Kiedyś odwiedził fotografa inspektor Canning. Po kilku zdaniach konweniencyjnej rozmowy, Canning zapytał wprost o cudzoziemską damę i jej młodego amerykańskiego przyjaciela. — Ach ta dama z ambasady amerykańskiej... O niej myśli pan? Nawet nie wiem jak się nazywa. Ale niech się pan nie obawia. Ona u mnie załatwia służbowe sprawy.

— Służbowe sprawy? — ze zdziwieniem spytał Canning.

— No, tak. Wywoływałem jej filmy. Dla ambasady. Canning okazał fotografowi swoją legitymację służbową. Właściciel zakładu zmieszał się.

— Ostatecznie nie będzie w tym nic nieuczciwego jeśli i pokaże coś Scotland Yardowi. Akurat mam kilka wywołanych filmów. Chodźmy do ciemni...

Przeszli pod girlandami suszących się filmów. Czerwone światelko, umieszczone nad stołem z waniakami — ledwie, ledwie rozjaśniało ciemnię. Chwilę stał Canning nieruchomo. Przyszywał wzrok, starał się jednocześnie nie urobić niczego z ruchów właściciela atelier fotograficznego.

— Oto one — powiedział po chwili fotograf, podając inspektorowi kilka wywołanych taśm.

Kilka minut później, przesuwał pojedyncze klatki filmów pod szkłem powiększalnika. Canning był już pewny, że jest na właściwym tropie.

— Pojedziemy razem — zwrócił się Canning do fotografa.

W głosie inspektora było coś takiego, co nie pozwalało fotografowi oponować. Nieco niemrawo odpowiedział tylko:

— Jestem do dyspozycji.

W Scotland Yardzie włączono rzutnik. Nie było żadnej wątpliwości. Na małym ekranie raz po raz pojawiały się teksty najbardziej tajnych dokumentów. Rozmowa z fotografem wykazała, że ten był zupełnie w porządku. W najlepszej wierze, że wykonuje li tylko techniczną obróbkę filmów dla ambasady amerykańskiej — przyjmował i realizował zamówienia „cudzoziemki”.

Po kilku godzinach wrócił do swego zakładu. Nie wiedział, że towarzyszyć mu będzie odtąd trzech „aniołów stróżów”, którzy dyskretnie roztoczyli anwylację nad atelier fotograficznym.

PREMIER JEST ZDENERWOWANY

To była męcząca konferencja, która ciągnęła się do późnych godzin nocnych. Do domu przy Downing Street 10 przybyli członkowie rządu, wysocy urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych, generałowie i admirałowie oraz odpowiedzialni kierownicy działów służby wywiadowczej. Konferencję przewodniczył premier Churchill, który wcale nie krył swego zdenerwowania. Fakty były przerażające oczywiste. Ktoś z ambasady amerykańskiej od szeregu miesięcy kopował dla wroga aliantów najbardziej strzeżone tajemnice wojskowe Anglii.

Zastanawiano się teraz nad krokami, które należy przedsięwziąć.

— Lordzie — zwrócił się Churchill do ministra spraw zagranicznych Halifaxa — konieczne jest, by pan zaprosił do siebie ambasadora Kennedy. Trzeba będzie mu opowiedzieć całą rzecz ze szczegółami.

— Wydaje się również konieczne ponowne przeprowadzenie rewizji w mieszkaniu Kenta — rzucił ktoś z grupy służby wywiadowczej.

— Oczywiście — potwierdził premier. To załatwi lord Halifax w rozmowie z Kennedy.

— Zarządziłem zmianę szyfrów. Od świtu rozjądzą się kurierzy we wszystkie strony. Amerykanie muszą to samo zrobić — odezwał się szef wywiadu wojskowego.

— A więc panowie, sytuacja jest przykra, ale przynajmniej jasna. Jutro chciałbym mieć raporty z przesłuchań podejrzanych. Siatka szpiegowska musi być całkowicie zerwana. Ministrowie wydadzą odpowiednie zarządzenia profilaktyczne. To wszystko. Czyńcie swoją powinność — zakończył premier.

Odsuwano krzesła: ktoś

otworzył okna. Do sali wtargnęło zimne, wilgotne powietrze. Był świt.

1500 STRONIC ZDRADY

W przytulnym, luksusowym mieszkaniu Tylera Kenta było tłoczno od ludzi. Przeprowadzano szczegółową rewizję w obecności gospodarza. Kent siedział w fotelu nieruchomo. Wydawać mogło się, że wcale go nie interesuje to wszystko, co działo się wokół niego.

A działo się dużo. Na stole gromadzono akta ambasady z nadrukiem „ściśle tajne”, rosła ilość mikrofilmów. Luźne dokumenty i kopie rozmaitych pism stworzyły stos, liczący 1500 stron!

— Skąd są te klucze? — zapytał Canning, pokazując Kentowi komplet składający się z trzech niewielkich kluczyków...

— Ten większy od pokoju archiwalnego. A pozostałe dwa od pokoju szyfrowego w ambasadzie — padła beznamietna odpowiedź.

— Czy to są klucze, które zawsze były w pańskim posiadaniu?

— Nie. Kazalem je zrobić. Liczyłem się z tym, że nie zawsze będę szefem szyfrów. W wypadku gdybym przeszedł do innego działu, posiadanie kluczy umożliwiłoby mi wstęp do tych gabinetów...

Nagle zadzwonił telefon. Kent spojrzął w kierunku aparatu, ale gest inspektora był wymowny. Amerykanin pozostał w fotelu, do do aparatu podszedł Canning.

— Proszę słucham...

— Mister Kent?

Za chwilę poproszę, jest w łazience.

— Kogo mam zaanonsować?

— Mówi, Vittorio z ambasady włoskiej...

Canning odłożył słuchawkę na widełki.

— Dzwonił Vittorio, minister Kent, co pan o tym powie...

— Mówić będę tylko w obecności ambasadora Kennedy — impertynencko odpowiedział Kent.

— Jak pan sobie życzy — zareplikował z uśmiechem Canning.

Policjanci wynosili z mieszkania powiązane w paczki dokumenty. Ostatni wyszli Kent i Canning...

LONDYN — RZYM — BERLIN — TOKIO

Baronowa była jak zwykle uroczą i kuszącą. Gdy zjawili się u niej przedstawiciele Scotland Yardu okazała najwyższe zdumienie, ale nie wypadła z roli dobrej gospodyni. Owszem, zna Kenta. Nawet więcej — kocha go. Od jak dawna? Zakochani nie liczą czasu — odpowiedziała z uśmiechem. Czy może coś więcej dodać? Nie. Uważa, że zasłużyło jakieś nieporozumienie. Ktoś zazdrościł jej miłości z przystojnym mężczyzną...

Zaproszono ją by odwiedziła Scotland Yard. Zaraz? Tak, niezwłocznie. Czy zdarzył się jakiś wypadek Tylerowi, czy jest zdrow? O, tak, jak najbardziej.

Canning sprowadził Annę Wolkoff do samochodu.

Przesłuchania były krótkie. Siła nagromadzonych dowodów była olbrzymia. Aresztowani kochankowie potwierdzili przypuszczenia.

Ustalono, że baronowa Wolkoff działała za pośrednictwem jednego z urzędników ambasady włoskiej w Londynie, któremu przekazywała wiadomości i materiały zdobyte przez Kenta. Stąd docierały informacje do Niemiec hitlerowskich i najprawdopodobniej do Japonii. W ten sposób Niemcy, Włosi i Japończycy znali szczegółowo wszystkie aktualne w danych okresach negocjacje, ustalenia i pla-

ny wymieniane między Stanami Zjednoczonymi a Anglią i innymi aliantami, oraz między Departamentem Stanu USA i amerykańskimi placówkami dyplomatycznymi.

Kompromitacja była duża. A kłopot dla zachodnich aliantów jeszcze większy. Wszystkie dotychczasowe zamiary i plany wzięły w łeb. Wszystko trzeba było montować od nowa i na zupełnie nowych zasadach.

7 listopada 1940 roku przed angielskim sądem stanęła baronowa Anna Wolkoff i Tyler Kent.

Anna Wolkoff z całą otwartością przyznała się do zarzucanych jej czynów, twierdząc, że była agentką na... rzecz pokoju! A Kent opisując dzieje miłości do pięknej baronowej stwierdził, że współpracował z Anną Wolkoff nie tylko z miłości do tej kobiety, ale przede wszystkim dlatego, że był przekonany, że jego działalność „zapobiec może wojnie” którą przygotowywał Churchill w zmoście z innymi masonami! On — Kent nienawdził wojny. I tego co mu zarzucają wcale nie uważa za zdradę, ani za działalność szpiegowską...

Tyler Kent skazany został na 7 lat pracy przymusowej, w rok później wymieniono go. Wrócił do USA. Anna Wolkoff na 10 lat więzienia. W roku 1946 wyszła na wolność. Żyje po dziś dzień, a jej sympatie dla pobratymców Mosleyowskich są nadal trwałe...



PEPEK ŚWIATA

czyli

O

traktorze, który nie zdobędzie wiosny

Kiernozi z czasem otrzymała prawa miejskie, które utraciła w drugiej połowie XIX wieku. Czasy jej świetności upamiętnia jedynie płyta żelazna na grobie ostatecznego burmistrza miasta, Kiernozi — Ludwika Witkowskiego, zmarłego w 1863 roku. Oglądałem ten stary grób i cmentarz. Grób burmistrza opuszczony, pomnik kruszeje. Nikt nie troszczy się, aby ten pomnik miasta utrzymać i „ocalić od zapomnienia”. Inną osobliwością cmentarza jest grób murowany z umieszczonymi na nim znakami S. i P. Poza nimi nie ma żadnego napisu, bo grób ten należy do żyjącego jeszcze człowieka. Wybudował go sobie przed piętnastu laty stary proboszcz Kiernozi ksiądz Zawado. Ten 96-letni staruszek dawno się już na śmierć sposobi i pogańskim zwyczajem trumnę metalową sobie kupił. Ale kosztucha nie ma zamiaru złożyć go do trumny.

Dziwny to był proboszcz, (mówię był — bo teraz hoduje owieczki już jego następcą, a sędziwy staruszek przeszedł na emeryturę). Nie zostawił on niestety, po sobie dobrej pamięci. Ludzie znają go jako sknerę, który targował się zawzięcie o opłaty za śluby i pogrzeby. Nawet najbardziej niejednego ze skóry odbał. Bardziej światli kiernozianie nie mogą mu wybaczyć dewastacji jakich dokonał w kościele. Ksiądz Zawado zniszczył szereg pamiątek historycznych. Zdziecinniał staruszek poobtlukiwał z na grobków postacie rycerzy, poprzedzając tablice pamiątek i w jednej ze ścian kościoła schował dokumenty dotyczące historii parafii i Kiernozi. **Jestem jednym z nielicznych ludzi, którzy od kryli schówek starego proboszcza.** Sędziwy staruszek nie ukrył tylko jednej pamiątki, która ani wiernym ani też kościółowi nie przynosi chwały. Jest nią srebrny krzyż obnoszony przy procesjach z wrytym na nim napisem.

„Na pamiątkę cudownego ocalenia Najjaśniejszego Pana Aleksandra III w dniu 27 października 1888 roku”.

Kiedy kiernozianie mieli dość dziecinniałego proboszcza, próbowali u władz kościelnych uzyskać zmianę duszpasterza. Sędziwy, Stanisław Fudała, wójt Kiernozi 18 razy jeździł w tej sprawie do Warszawy. Przyjmowano go jednak jak intruza. Dopiero gdy wraz z nim wybrało się 80 parafian — władze kościelne, uwzględniły ich życzenie. Nie łatwa to była sprawa, bo stary ksiądz miał w Kier-

nozi nielicznych wprawdzie, ale bogatych zwolenników. Przywódcą ich był jeden z najzamożniejszych ludzi w osadzie ogrodnik Piotr Lukasik.

Przed wiekami tułano się po lasach i polach wielu błędnych rycerzy. Jeden z nich spotkawszy pracującego na roli kmiotka zapytał — „kmiectu, daleko stąd do środka świata?” — „Tu, gdzie ziemia moja, jest świata środek” — odparł rezolutnie zapadnięty i palnął pięta w ziemię, aż grunt się obsunął i otworzyła się jama przepastna napełniona wodą. Rycerz zdjął zbroję, napił się wody jak rosa czystej i rzekł: — Tu z tobą ostane, bom znalazł to com szukać ślubował. Potem zapadnięta jama kłodami dębowymi obłożyl, która ludziom do dziś za studnię służy. Zbrała się z kmiectem, córke jego za żone pojął i od swego imienia założył osadę, Kiernozią zwaną. Musiało stać się to bardzo dawno, bo już w XVI wieku Kiernozią miała swoją parafię i jednonawowy kościół gotycki.

nozi nielicznych wprawdzie, ale bogatych zwolenników. Przywódcą ich był jeden z najzamożniejszych ludzi w osadzie ogrodnik Piotr Lukasik.

Przede mną, kilka lat temu, kościółkiem w Kiernozi interesował się również Am basador Francji. Przybył on tu tak jak i ja w poszukiwaniu miejsca wiecznego spoczynku wielkiej miłości Napoleona I. Nie wiem, z czym wyjechał Ambasador, nie wiem czy jego relacje zadowoliły historyków francuskich. Ja mam jednak podstawę, by twierdzić, że tu, w jednej z czterech trumien umieszczonych w podziemiach północnej kaplicy, spoczywa Maria Walewska. Kaplica ta należała do rodu Łączyńskich. Tu przed laty były umieszczone tablice pamiątkowe Macieja Łączyńskiego starosty Gostyńskiego, ojca Walewskiej zmarłego w 1795 r. i jej brata Teodora, Michała, Karola, Stanisława, Józefa, Marcina — sześciu imion Łączyńskiego pułkownika wojsk francuskich. Stary dziwak przenosił te tablice w inne miejsce, zacierając ślad przed ludźmi zainteresowanymi historią Walewskiej.

Prawdopodobnie w zamurowanych aktach kościelnych ambasador francuski znalazłby trapiącą zagadkę. Przez kraty piwniczne oglądamy trumny z prochami Łączyńskich i Walewskiej.

DZIEŃ POWSZEDNI

Jeżdżę ładnych parę lat po różnych zakątkach województwa łódzkiego, lecz nigdzie nie spotkałem tyle psów co na rynku w Kiernozi. Po wyjściu z autobusu, obskoczyło mnie chyba ze dwadzieścia kundli. Przyznać trzeba, że psiarz zachowuje się przyzwyczajony i

przyjaźnie, chociaż zbyt hałaśliwie. Początkowo dziwiłem się, dlaczego nie pilnują domostw? Dowiedziałem się później, że nie ma przed kim. Od lat nie było w osadzie kradzieży. Jedyny złodziej w Kiernozi, zmienił przed laty miejsce zamieszkania. Milicja ma idealny spokój. Prostytucja jest tu nieznana. Przed wojną była co prawda jedna niedorozwinięta kobieta trudniąca się tym zawodem, ale zmarła na katar kiszki. Miała ponoć wzięcie wśród miejscowych kupców. Za usługi płacił jej śledzikiem z cebulką i fiaską piwa.

Zapobiegliwi budują nowe siedziby. Sami palą cegłę, a zabiegając o pożyczki państwowe, nie zaprzeczają żadnej okazji by zdobyć trochę budulca lub pieniędzy. Przez 14 lat wybudowano tu zaledwie 5 nowych domów, a w tym roku rozpoczęto budowę 28. Inwestycje te wiążą się ze wspomnianą już osobą Piotra Lukasika.

Gromadzka Rada w Kiernozi nie dysponowała zbyt wielką ilością ziemi na działki budowlane. Niezrozumiała przez ludzi decyzją władz ze skąpego i tak funduszu ziemi — 2 hektary otrzymał Lukasik. Motywował podanie o ziemię w sposób następujący: „W Kiernozi nie ma przemysłu, jeden mały młyn zatrudnia nielicznych robotników. Powiększę ogrodnictwo to ludzie znajdą pracę u mnie”. Nie poznano się jednak na jego filantropii, ktoś wspominał, że ten filantrop kupił kamienicę w Warszawie, ktoś drugi dorzucił wspomnienie o podobnym sprawunku w Sochaczewie, a stu innych nie chcieli powiększać dorobku i tak bogatego człowieka, Stanęli o-

stro, natarli na władzę i dwa hektary Lukasikowe po dzielono między osadników. Lukasik poprzysiął jednak, że mimo to ziemię w Kiernozi zdobędzie.

Słowa dotrzymał. Jak to się stało — opowiem, gdy liczba bohaterów reportażu powiększy się o jeszcze jednego Lukasika. Na razie tamtego zostawiam w spokoju, ponieważ Kiernozi to nie tylko rodzeństwo Lukasików.

Miejscowa połoźna nie na rzeka na brak zajęcia. Jeżeli w roku 1958 „odebrała” 90 dzieciaków, to rok później ilość ta wzrosła do 210 szkrabów, a w przeciągu tylko 4 miesięcy br. Kiernozi i okolice zwiększyły swą ilość mieszkańców o 75 nowych obywateli. Świadome macierzyństwo czeka tu wciąż na swego popularyzatora. Przyrost naturalny jest duży i na nieszczęście u najbiedniejszych rodzin. O profilaktyce, kobiety nie chcą nawet słyszeć twierdząc, że jest to wykroczenie przeciw prawu bożemu, a mężczyźni, nie mają nawet gdzie zaopatrzyć się w niezbędne ku temu środki.

Połoźna zrezygnowała więc z nakłanian do wstrzeźliwości, prosi jedynie rodzaje w Ośrodku Zdrowia kobiety, aby przestrzegaly chociaż zasad higieny osobistej. W swojej praktyce spotkała bowiem jedną pacjentkę z... kołtunem.

Dzieciarni w Kiernozi jest więc zatrzęsienie. Stara szkoła nie może ich pomieścić.

Przy obecnym tempie przyrostu naturalnego nawet planowana tu Szkoła Tyśiąclecia za kilka lat nie pomieści młodego narybku. Dobrze chociaż, że dzieciaki są pracowite i do społecznego życia dobrze sposobione. Nie kto inny, a one właśnie, za podszepciem, nauczycieli, pierwsze zabrały się do porządkowania osady. Któregoś dnia wpadły jak szaraczka na zapuszczony rynek i dalej szarpać z ziemi brukowce. Rozkopaly go do połowy i zostawiły. Dorosli chcą nie chcą muszą teraz nawierzchnię rynku rozebrać i ułożyć kamienie jak przystało. Pora ku temu najwyższa, bo motoryzacja dotarła i tu, 2 mieszkańcy Kiernozi posiadają już własne samochody. 2 auta na 1.000 mieszkańców to nie jest zła proporcja jak na wiejskie warunki. Za to motocykli jest tu niezliczona ilość. Niektórzy chłopcy mają nawet po dwa. Na WFM-kach po polach roztrasają obornik, a na „Jawach” jeżdżą do kołki w Łowiczu.

Jeden spryciarz postanowił sobie nawet traktor za-fundować. Zrobił przymilne-oko do władzy powiatowej i organizacji rolniczych i traktor dostał. Niestety.

„TRAKTOR NIE ZDOBYŁ WIOSNY”

Mieszkańcy Kiernozi chętnie się, że zelektryfikowali

osadę bez grosza pomocy państwowej. Wysypywali ostatecznie złotówki, aby uzyskać światło. Gromadzka rada postanowiła nawet sprzedać na ten cel jeden z placów w osadzie. Gotówka była „otrębna i to szybko. Ogłoszono licytację.

Dwaj podstawieni reflektanci na plac, jak mogli tak obniżyć jego cenę. Kiedy trzeba się było w końcu licytować, aby zachować pozory uczciwej gry, do tej dwójki dołączył się trzeci, przelicytował ich i za 54 tysiące kupił plac. Kupił go zresztą nie dla siebie, bo ziemi własnej ma dosyć, lecz dla brata, i za brata pieniądze.

Dlaczego to zrobił? Nie zdziwił się zapewne, jeżeli ujawnię nazwisko nabywcy i jego brata. Nabywcą placu stał się bowiem brat Piotra, Franciszek Lukasik.

Piotr Lukasik nie miał śmiałości zgłosić się do transakcji sam, zbyt wielu ludzi nie cierpi go za zachłanność i za bogactwo, za opór przy zmianie proboszcza i za działki, które chciał im zabrać. Chyba, tylko dzięki niechęci mieszkańców osady do Lukasików, dowiedziałem się o innej nie mniej ciekawej operacji przeprowadzonej przez Franciszka Lukasika. Jest to chłop zamożny, gospodarz na 20 ha pięknej ziemi w pobliskiej Woli Stypowskiej. Wspólnie ze swoim zięciem, posiadającym tyle samo co i on gruntu, postanowili zdobyć traktor. Bądź co bądź było co uprawiać 40 hektarów to prawie folwarczek. Rada w radę postanowili założyć kółko rolnicze. Zwerbowali około 15 biedniejszych chłopów, zarejestrowali się i złożyli wniosek na traktor. Państwo z Funduszu Rozwoju Rolnictwa dołożyło 75 tysięcy zł i za 25 tysięcy Lukasik z zięciem zdobyli w grudniu ub. r. upragniony sprzęt.

Po otrzymaniu traktora, do kółka zgłosili się Józef Pliszka i kilku innych chłopów, ale Lukasik kategorycznie odmówił im przyjęcia. — Nas jest i tak dosyć, ziemi mamy pod dostatkiem i nowych nam nie trzeba”. Argument ten potwierdzili pozostali członkowie. Kiedy śnieg stał się i ziemia czekała na orkę, chłopcy z Lukasikowego „kółka” wyszli na pole bez traktora.

Nie dlatego, że robić nim nie chcieli, lecz Lukasik postawił im warunek, którego nie mogli spełnić. Na przednówku nie wszyscy mieli „otówkę”. A ci, którzy ją posiadali, przejechali, że przyjaźń z drapieżnym sojusznikiem nie wyjdzie im na dobre.

Warunek Lukasika był prosty:

— Albo dajecie forse, którą za was wyłożyłem, albo fora z podwórza.

Poniekąd miał rację. On przecież dał pożyczki biedniejszym od siebie sąsiadom na udział w kupnie traktora. Potrzeba mu było tych udziałowców. Bez nich nie dostałby traktora. Bez nich państwo nie dołożyłoby mu 75 tysięcy złotych. Traktor z pełnym zespołem maszyn pomocniczych stoi na folwarczku Lukasika.

Formalnie jest on właścicielem kółka rolniczego, faktycznie należy do Lukasika. Sprzęt przeznaczony dla zespołu ludzi, znajduje się w rękach „bogatego rolnika”. Termin kulak uważa się w powiecie za skompromitowany, zastępuje się go różnymi określeniami, łagodnymi, grzeczными. Mówi się bogatszy, lub zamożniejszy rolnik, chociażby praktyka tego milego osobnika była jak najbardziej drapieżna i kręćka.

Rozmawiałem z kilkoma członkami Lukasikowego kółka rolniczego. Przejrzeli teraz na oczy, klną na czym świat swojego patrona i władzę powiatową. Chcieliby zachłannego bogacza wykluczyć z kółka i traktor mu odebrać. Lukasik gwizda na nich. Ma plecy wśród znajomych we władzach. O całej aferze z traktorem wiedzą bowiem Powiatowy Zarząd Kółek Rolniczych i Wydział Rolnictwa PRN w Łowiczu. Cóż zrobić kiedy wszyscy oni są, przesadnie grzeczni wygodni i cisi. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby darowano ten traktor Lukasikowi, a całą afere zaliczono do ludzkich błędów i wypaczeń. Okazuje się, że nie tylko stary, proboszcz miał respekt dla bogactwa. On jednak odszedł. Ludzie w Kiernozi i okolicy myślą już innymi kryteriami. Biorą władzę, swoją ludową władzę na serio i mają ją żądania, których nie można ignorować. Jeżeli chce się również poważnie traktować opinie tych ludzi, w których imieniu się rządzą. Nie wierzą oni w żadną wspólną interesów z bogaczami i w żaden sojusz z nimi. W KP również znają praktyki Lukasików.

W powiecie widać nie ma jasnego poglądu na te sprawy. Czyżby wierzone wciąż w zbratanie się rycerza z kmiotkiem jak w owej legendzie o środku świata?

Zdjęcia:
J. GŁOWACKI



Pelen tajemnic i zagadek kościół w Kiernozi.

MARIAN PIECHAL

„Widzę i opisuję“

To Mickiewicz tak powiedział o kraju swojej młodości, o Nowogródczyźnie, którą opisał w „Panu Tadeuszu”. Powiedział o tym kraju swojej młodości: „Litwo! Ojczyzno moja!” A przecież wiemy, że Nowogródczyzna, to nie Litwa, to Białoruś. I ot, pierwszy niepokój i pierwsze zaambarasowanie czytelnika: — Jak to? Czyżby Mickiewicz nie wiedział, że to nie Litwa, tylko Białoruś? Przecież, jak sam wyznaje, jako „młode pachole ze strzelbą na ramieniu, św. szcąc, szedł na pole”, ale także i przez wieś i osiedla tameczne wędrował, stykał się z ludźmi, rozmawiał z chłopami, którzy bynajmniej nie mieli się za Litwinów. Więc jakże to ostatecznie? Czy Mickiewicz naprawdę „opisuje” to, co „widzi” w rzeczywistości, czy też tylko to, co widzi w swoim pragnieniu? A więc nie opisuje prawdy obiektywnej, bo ona była zupełnie inna, niż ta opisana przez niego w „Panu Tadeuszu”, ale prawdę subiektywną, zmyśloną, idealną, wysnutą z tęsknoty do kraju lat dziecińczych.

Młody polonista — weredyk rozstrzygnąłby to w ten zapewne sposób (i miałby na swój szkolny, wychowawczy użytek rację): Mickiewicz operował terminami pojęcia administracyjnego dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, która — jak wiadomo — dzieliła się na Koronę, Litwę i Ruś. Nowogródczyzna właśnie należała administracyjnie do Litwy. Mickiewicz jest w porządku.

Oczywiście, z tego dawnego administracyjnego punktu widzenia jest Mickiewicz w porządku, jest także w porządku, kiedy siebie samego, jako mieszkańca Nowogródczyzny, nazywa Litwinem, chociaż wiemy, że Litwinem nie był — tak jak nie był Rusinem Słowacki, chociaż urodził się i wychował na ówczesnej Rusi. Ale z obiektywnego punktu widzenia Mickiewicz racji nie miał. Natomiast miał zupełną rację z punktu widzenia subiektywnego, który to punkt widzenia należałoby nazwać intencjonalnym. Gdyż wyrażała się w nim intencja, chęć, pragnienie zespolenia się z krajem, w którym się urodził i wychował. W tej więc subiektywnej, intencjonalnej postawie Mickiewicza wyraża się o wiele pełniej, bardziej złożona, bogatsza racja (bo także i psychologiczna) od tej racji, powiedziałbym, administracyjnie obiektywnej.

Zniecierpliwiony czytelnik może mnie w tym miejscu zapytać: po co ta kolowacizna? Do czego to wszystko zmierza? Ano do tego, aby wykazać, jak bardzo sprawa widzenia i opisywania jest trudna i skomplikowana. Zarzucić Mickiewiczowi subiektywne kłamstwo w „Panu Tadeuszu” byłoby to dopuścić się barbarzyńskiego bluźnierstwa, żądać zaś od Mickiewicza obiektywnej prawdy byłoby to chcieć wyrzec się arcydzieła czyli świadectwa prawdy wyższego rzędu niż tzw. racja obiektywna.

A przecież tylko prawdy wyższego rzędu mówią o istocie rzeczy. Świadczą o tym skrzętnie poszukiwania najdrobniejszych odruchów twórczości ludów pierwotnych przez uczonych wszystkich czasów. W tych ocalałych cząstkach twórczości artystycznej, także słownej, zamierzonych pokoleń kryje się najpełniejsza o nich wiedza. Ich prymitywna sztuka wyraża bowiem całą złożoną i skomplikowaną problematykę widzenia i opisywania. Zadane ujrzenie i opisanie z zewnątrz żyjących do dziś resztek ludów pierwotnych przez współczesnych uczonych, badaczy i podróżników nie może oddać tej wiedzy i prawdy o nich, co ich własna szczerkawa twórczość artystyczna, owo właśnie ich własne „widzę i opisuję“.

Łatwo się o tym przekonać, sięgnąwszy do dwóch znakomitych publikacji z tej dziedziny, wyszłych ostatnio z druku. Pierwsza z nich, to wydana przez „Czytelnika” „Wiza do kraju prehistorii” francuskiego autora Pierre-Dominique Gaisseau w przekładzie Katarzyny Witwickiej. Autor w swej wędrowce po Nowej Gwince odkrył w jej środkowej, niezbadanej dotąd, części zupełnie nieznaną, na wpół dzikie, plemię pierwotnych mieszkańców wyspy. Pozbawiony absolutnie jakichkolwiek kontaktów ze współczesnym światem cywilizacji ludzkiej, prymitywny lud ten stanowi klasyczny okaz epoki prehistorycznej. Cechuje go najdalej posunięta nieufność do propagowanych przez odkrywców form cywilizacji współczesnej, zwłaszcza jej pewnych elementów kultury duchowej, wyjąwszy niektóre artykuły bezpośredniego użytku, jak żywność, ozdoby, broń, trunki i narkotyki. To samo potwierdza inny głośny etnograf francuski, Claude Levi-Strauss, w dziele „Smutek tropików”, przełożonym na polski przez Anielę Stelsberg i wydanym przez PIW. Tutaj mowa jest o kilku pierwotnych ludach, zamieszkujących najdziksze, mało zbadane, ostepy podzwrotnikowej puszczy brazylijskiej Matto Grosso. Na czym polega ten przejmujący smutek tropików? Na beznadziejnej falowości życia ich pierwotnych mieszkańców. Jakakolwiek tendencja zaszczepienia im nowoczesnych form życia cywilizacyjnego spotyka się natychmiast z zaciekłym odporem. Autorzy obu książek dochodzą nieledwie do wniosku, że jedyną drogą postępu cywilizacyjnego i jego ekspansji, to droga nacisku, przymusu, a nawet podboju.

Czy mają rację? Nie wiem. Raczej skłonny jestem mniemać, że nie. Krzyżacy w średniowieczu też nas (a i nie tylko nas) podbijali pod pozorem misji cywilizacyjnej. Autorzy twierdzą, że wyciągają wniosek z tego, co wiernie i obiektywnie widzieli i opisali. Ale czy wiernie i obiektywnie? Czy to było u nich możliwe — u nich, z innego kręgu cywilizacyjnego i z innej epoki historycznej, niż widziane i opisywane przez nich ludy pierwotne? Dopiero zbadana gruntownie sztuka tych ludów mogłaby o nich powiedzieć coś naprawdę adekwatnie obiektywnego czyli istotnego.

W tym wypadku bowiem widzieć i opisać, to przewidzieć w nich i przypisać im to, czego ani zobaczyć, ani tym bardziej opisać u nich nie można.



Fot. M. Adamek.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Gdy politykę robi struś (2)

KULTURA I PROPOZYCJE

Jako osobna specjalizacja w pracy Wydziału Kultury istnieje działalność, zmierzająca do „ukulturalnienia” możliwie jak największej ilości mieszkańców naszego miasta. W budżecie istnieją dwa punkty, stanowiące odpowiednik tej akcji — pierwszy o nazwie — „obchody i konkursy” i drugi — „inne akcje kultury i sztuki”. Suma na ten cel przeznaczona wynosi ponad milion zł. Jakże rozdział działalności obejmują owe „inne akcje kultury i sztuki”?

Przed wszystkim — kampanie odczytowej, organizowaną wspólnie z innymi organizacjami i instytucjami — ZMS, TWP, Klubem MPIK oraz Zw. Literatów. Pierwsze pytanie, które nasuwa się w związku z tym, to: czy Wydział jest zorientowany w potrzebach terenu? czy wie dokąd, kogo i z jakim odczytowym bagażem należy wysłać?

Wydział nie dysponuje na wet pełnym wykazem finansowanych przez siebie odczytów. Do niedawna upowszechnianiem zajmowały się tylko cztery osoby, a więc aparat był w stosunku do potrzeb stanowczo za mały. Inicjatywa kampanii „upowszechniających” przychodzi prawie zawsze z zewnątrz. Z prośbą o odczyt zwracają się albo poszczególne zakłady pracy, albo też zajmują się tym inne instytucje, mające coś wspólnego z kulturą, np. Zw. Literatów. Wydział Kultury przeznacza z góry dla prelegentów ze Związku 60 tys. zł, a o resztę w zasadzie już się nie troszczy. Wobec takiego układu nasuwają się pewne uwagi. Po pierwsze, czy nie stanowi to ograniczenia kręgu prelegentów do pewnej tylko liczby osób? Wszak dobry popularyzator dóbr kulturalnych nie konieczności legitymować się mu si przynależnością do Par-

nasu. Prócz tego narzuca się dość zasadnicze zastrzeżenie — jeśli Wydział Kultury finansuje akcję odczytową, to powinien chyba zainteresować się również jej efektami. Prelegenci np. często się skarżą, że nie mogą dotrzeć do zakładów peryferyjnych. Należałoby im ten dostęp ułatwić.

Sądzę, że w sprawie repertuaru odczytowego Wydział Kultury ma prawo i powinien zabrać głos. Nie wierząc w oczywiste presji na prelegentów mógłby np. z nimi przedyskutować celowość podejmowania pewnych tematów. Zdarza się bowiem i tak, że prelegent w jak najlepszej wierze wygłasza szereg odczytów na temat np. jednej napisanej przez siebie książki. Słuchacze wiedzien zdrową ciekawością, przybywają na taką imprezę i wychodzą z tym samym przekonaniem, z którym przyszli: dobra książka nie potrzebuje kampanii reklamowej, prowadzonej przez samego autora. Wytworzył się zresztą ostatnio typ literata zawodowego „ambasadora literatury i kultury”, który chętnie podejmuje bardzo różne tematy. Sądzę, że nie jest to zjawisko niepokojące; wprost przeciwnie. Lepiej bowiem zapoznać masowego odbiorcę z wiarą tego literata, niż uparcie mniemać, że przełom kulturalny nastąpi w wydanu własnego dzieła. Ośmielam się jednak sądzić, że wśród prelegentów zbyt często powtarzają się te same nazwiska (nie opieram się przy tym na ścisłych danych, które są trudno dostępne. Np. Zw. Literatów otacza te dane ścisła tajemnica. Jak oświadczył mi przedstawiciel zarządu p. Dudziński — redakcji danych tych nie można udostępnić). Wierzę, że częściej zdarzają się „zamówienia” na Sztudyingera niż

na młodego poetę, ale zawsze bowiem o wartości pisarza decyduje ilość wydanych tomów; czasem ważniejsze jest, że młody pisarz może napisać coś wartościowego, niż to, że dojrzały ma już jakiś dorobek i może swobodnie eksploatować własną popularność.

Zresztą ważną rolę gra dobor odpowiedniego słuchacza. Ponadto młodzi literaci skłonni są czasem do oświadczeń w rodzaju „Mickiewicz był grafomanem” i tego rodzaju przekonania manifestują wobec peryferyjnego audytorium. Te te decyzyjne dobrane fakty, choć może w poszczególnych wypadkach prawdziwe, nie powinny — moim zdaniem początkującym pisarzom utrudniać akcji odczytowych z lęku przed gafami. Co najwyżej Wydział Kultury mógłby bardziej uważnie interesować się prelekcjami. Nie należy oczywiście awangardowego poetę wysyłać do Galkówka, choćby miał tam wygłosić odczyt o Konopnickiej (gdyż gotów na marginesie zauważyć, że to grafomanka i dowód tego przeczytała własny wiersz), ale można go wydelegować ze stosunkowo małym ryzykiem do środowisk lepiej przygotowanych.

Inna już gałąź działalności odczytowej, to wieczory w Klubie MPIK. Omnibusowy charakter Klubu ułatwia może umieszczenie w jego repertuarze wieczorów o bardzo różnym poziomie. Wydać mi się, jednak, że działalność Klubu jest przede wszystkim za mało ambitna, że na jego terenie nie konieczne są prelekcje w rodzaju „O życiu i twórczości Orzeszkowej”. Moim zdaniem Klub powinien być raczej placówką przeznaczoną dla bardziej wyrobionego widza i czytelnika.

Jakie zatem wnioski na-

suwają się po rozważeniu akcji odczytowej, prowadzonej przez Wydział Kultury? Przede wszystkim jeden narzuca się natrętnie. Wydział Kultury grzeszy brakiem inicjatywy i pełniąc rolę przede wszystkim finansowo-administracyjną plac, czeka na propozycje i nie bardzo wie jaki skutek przyniosły jego pieniądze. Taki stan na dłuższą metę wydatuje się nie do przyjęcia.

POLITYKA JEST RZECZĄ TRUDNA

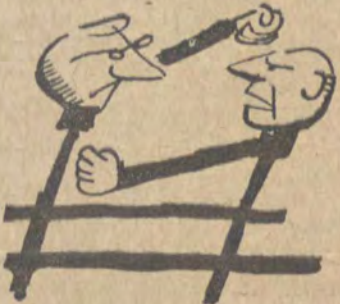
Wróćmy jednak do świetlic, której obraz stanowił wprowadzenie do rozważań. Świetlice, (jak to sam Wydział Kultury przyznaje), są najsłabszą stroną działalności kulturalnej. Wielkie nadzieje wiąże się tu z powstałymi w marcu referatami kultury przy radach narodowych. Według opinii Wydziału, zwiększenie aparatu upowszechniającego kulturę stanowi przełom w całej akcji. Oceniając znaczenie pracy referatów dla lepszego zorientowania się w terenie, nie można jednak zapominać o znikomych środkach, którymi, jak do tychczas, dysponują. Kontrola działalności świetlic, klubów i bibliotek może pozostać tylko kontrolą, która wiele w ich sytuacji nie zmieni. Podstawowym dostępnym środkiem działania referatów jest obecnie... łagodna perswazja. Finansowanie potrzeb świetlic to obowiązek rad zakładowych, a rady zakładowe niezbyt często skłonne są do poważnego traktowania spraw kultury. Bywa i tak, że fundusze przeznaczone na kulturę rozchodzą się na wyieczki, czy zabawy taneczne i na tym cała akcja z konieczności się kończy. Związki zawodowe są zaś, jak wiadomo, organizacją zarządzaną centralnie i ingerencja w ich sprawy nie zawsze chętnie jest widziana. Odbija się to zresztą fatalnie szczególnie na pracy bibliotek. Biblioteki zakładowe traktuje się jako własność nierozdzielnie związaną z jednym zakładem pracy, co uniemożliwia niezbędne często przetrzymywanie księgozbiorów i zapewnienie każdej bibliotece stałego bibliotekarza. Istnieje wprawdzie możliwość porozumienia się wszystkich instytucji zajmujących się kulturą w ramach Komisji Koordynacyjnej, z którą wiązano niedawno jeszcze pewne nadzieje. Wydział Kultury jednak skłonny jest do ograniczenia zakresu działal-

(Dalszy ciąg na str. 8) ■

ELITA, MASY I LANIE w dwuznacznik



Przed wszystkim, Redaktorze, odgłosy z Pamasu. Udało się je usłyszeć nadzwyczaj wyraźnie bywalcom kawiarni Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Literat, krytyk i tłumacz Andrzej Wirth spoliczkował tam literata, krytyka, i człowieka, który nie lubi się tłumaczyć — Andrzeja Dobosza. „Ostatni dobosz w Warszawie” — jak śpiewano w STS-ie pomógł drukiem Wirtha o plagiat, czego rzeczono odgłosy były bezpośrednim skutkiem. Napadnięty skopał napastnika po różnych częściach ciała. Dyskusji literackiej sędziował pisarz Kabate. Wymieniony wyszedł bez szwanku.



Do Sądu wpłynęły czy też mają wpłynąć pozwy Andrzeja Wirtha przeciwko Andrzejowi Doboszu o zniesławienie i Andrzeja Dobosza przeciwko Andrzejowi Wirthowi o pobicie. Sprawa kopania pozostała w zawieszaniu.

Nie była to, oczywiście, jedyna mokra robota w tzw. środowisku. Redaktor jednego z czołowych tygodników był łaskaw w przystępie dyskusji merytorycz-

nej rzucić filiżanką wypełnioną kawą w jednego ze swych współpracowników. Świadkowie zajęli jednoznacznie stanowisko, że kawa się wylała.

Z karty żatobnej. Dalszy ciąg mokrej roboty dotyczy już bowiem wypadków śmiertelnych zaistniałych w „środowisku”. Oto pożegnało się z tym światem kilkadziesiąt sepek kur hodowanych przez pisarza, dramaturga i reportera Józefa Kuśmierka. Kiedy pomór zawiła pod dach willi pod Warszawą zamieszkiwanej przez rzeczono kury, znakomity pisarz miał zawołać „Uwaga kura!” i wziąć siekiere do ręki. Były to dni pełne patosu. Ex parzytant mlarowo ucinął głowy i deklamował wiersze. Okolica spłynęła krwią.

Dziennie spadało równo czterysta głów. Józef Kuśmierka nie omieszkali podkreślić, że bliź nie tylko kury, ale rekordy Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Wieczorem w jednym ze stołecznych barów publiczność mogła ścisnąć zakrwawione dionie uwaga — człowieka, który zawsze i programowo nienawidził czystych rak. Następnie miała miejsce bolesna uroczystość wymienienia jaj — pamiątek po zmarłych, na kieliski rozmaitych trunków. Kury były ubezpieczone.

O ile środowisko artystyczne zajmuje się, jak widzimy nadal sprawami wzniosłymi, duchowymi, nadziemnymi — o tyle otaczający je gwoźli zwiększenia splendoru naród oddaje się nadal i mimo licznych upomnień i kolejnych po-

ważnych ostrzeżeń — pogoniom za pieniędzmi. Ale jednak twórcze technienia Parnasu przenikają i ku maluczkim, z których niektórzy owionięci duchem geniuszu zarzucają nietwórcze intelektualnie formy zarobkowania, polegające na produkowaniu lokomotyw, cukrowni, kałesonów i wykłaczek — i chwytają się idei.

Oto plonierski rolnik ze wsi Glinica zaobserwował, że wsadzenie do ziemi ziemniaka, albo nawet jego połowy powoduje, iż po kilku miesiącach wyrasta z niego dziesięć a nawet dwadzieścia kartofli. Ow rolnik z Glinicy miał nadmiar ziemniaków, natomiast uznał, że potrzeba mu gotówki. Do każdego zasadzonego kartofla przydał więc monetę jednozłotowa. Zasadził w ten sposób na swym polu dwanaście tysięcy osiemset złotych i ma zamiar zebrać jesienią dwadzieście pięćdziesiąt sześć tysięcy złotych. Na wyniki owego eksperymentu oczekują z najwyższym zainteresowaniem najwyższe władze skarbowe. Podobno typuje się już grunty pod uprawę dewiz.

Twórczą myśl można przydać do banalnych nawet zamierzeń handlowych, takich jak otwarcie kawiarni. Przykładem teraz już nie genialnej wynalazczości, ale racjonalizatorstwa jest otwarcie w lasku koło Otwocka „Cafe Bocian”.

Żeby było ciekawiej stoliki w tej café umieszczono wysoko na drzewach, w dużych budkach przypominających karmniki dla ptaków. Do takiego locum wiedzie drabina. W środku, obok stolika — kozetka, krzesło i dzwonek na kelnera. Robiąca konkurencję bocianom kawiarnia wabi turystów atrakcyjnością tkwiąca w każdej ekstrawagancji i pozornym choćby bezsensie i możliwością skutecznej izolacji od otoczenia, tak srogo gdzie indziej tepionej przez milicję.

Bo u nas posiadanie poczucia humoru staje się obowiązkiem nie tylko ży-

ciowym ale i służbowym. Tworzy to mechanizm psychiczny, który każdy sprytny człowiek może wykorzystać. Milicjant weźmie za kark obywatela, który usiadł na trotuarze, wyłoży przed sobą czapkę i zacznie żebrać. Ale niech ów człowiek usiadł na dachu domu i niech spuści na sznurku nóg na ulicę i niech na nocniku owym napisze „danki na sieroty po mnie” — to już będą wolne żarty i każdy milicjant obowiązany będzie służbowo się uśmiechać.

Ktoś tu powie, że poczucie humoru nie jest u nas zjawiskiem masowym, ale jednostkowym. Nie szkodzi. Za to jest typowe. Jest tym nowym co się kształtuje, rodzi, kielkuje i jest zatwierdzone do kwitnienia. Myśleniem wartościowym jest tylko myślenie twórcze. Myślenie twórcze musi być radosne. Radosne — znaczy wesole. Wino tylko takie jest poważne. Tu mały dokument sprawy. Czyli ogłoszenie wycięte z gazety:

„Dwie babki z tytułami, wyjeżdżające na weekendy dla bezpieczeństwa i powiększenia towarzystwa poznają dwóch kawalerów, nie nudnych, z wyższym wykształceniem, w wieku od lat 28—35. Jesteśmy poważnie myślące.”

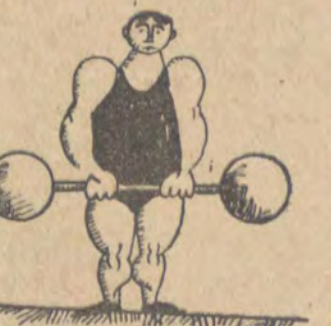
Uważny czytelnik łatwo spostrzeże, że w tym ogłoszeniu zawarta jest pełna synteza współczesnego obywatela PRL. Niby nie, niby babkom się samym nudzi i chcą trochę tych rzeczy co ja wiem, a nawet Pan Redaktor rozumie. Ale o tym anonisie można napisać rozprawę na kilkaset stron. Mamy przed sobą manifest życiowy pokolenia Proszę: i dążność do bezpieczeństwa i stabilności i ped kolektyw twórczo przewyżający starointeligencję outsiderizm i indywidualizm i trochę rodzimego snobizmu (tytułki — dobre umeblowanie namiotu) strach przed nienawiścią do nudy, kult wykształcenia, prymat dla młodości przy negatywnym stosunku do niedojrzałości, nadziewanie na wieży tradycyjalne (zyciorys kawalerów) kumpolski genre („babki”). Europa panie dzieju i w ogóle nowoczesność (weekendy). No i wreszcie synteza tego wszystkiego, sumaryczna definicja. Bo zawarty w ogłoszeniu zbiór postaw, gustów, przekonań, nadziei życiowych, jednym słowem cała ta recepta jest wzywką poważnego myślenia autorki.

Doniosłem Panu o dokonaniach elity artystyczno-intelektualnej. Pisałem o twórczości gospodarczej uprawianej przez elitę myślową tej branży. Oto trzeci z kolei gatunek śmietanki — elita obyczajowo-społeczna.

Ma ona pełne poczucie swej misji. Uważa się za misjonarza wśród dzikich afrykańskich plemion, albo za coś podobnego dozorcę w ZOO. Każda elita po to żeby istniała i miała świadomość swej elitarności musi wyraźnie wyczuwać dystans. Właśnie weekendy temu sprzyjała.

Wyobraźmy sobie, że utytułowane babki z udyplomowanymi towarzyszami, kocherami, nylonami i aluminiowymi precjozami suną w sobotnie popołudnie przez Polskę. Oto szosa. Idzie nią Stanisław Owczarek. Zza drzewa wychodzi Józef Ko-

łodziejczyk. Kołodziejczyk wyjmując nóż i przebijając nim plecy Owczarka. No cóż. Rzecz, jak już wiemy, mniej więcej zdarzyć się może w najlepszym towarzystwie. Ale oto milicja łapie Kołodziejczaka i pyta go: Kołodziejczak, dlaczego ty to zrobił. I Kołodziejczak mówi: że miał dzieci i chudobę. I oto dzieci chorowały i chudoba chorowała i cała gospodarka źle szła od tych chorób wszelkiego przychówka. A dlaczego tak się działo? Sprawa jest jasna. Więc morderca „zapada”. że zamordowany Owczarek rzucił uroki na niego i jego majątek. Uroki to były nie jakieś mistyczne, ale zgola konkretne. Ktoż by bowiem w inne wierzył w naszej epoce sputników, faktów i konkretów. Cytuję protokół przesłuchania:



„Na zabawie Owczarek otworzył butelkę wachał wódkę i coś szeptał. To były czary, bo kiedy wypilem taką wódkę to zawsze się źle czułem.”

Ja Redaktorze nie twierdzą że Owczarek nie był czarownikiem. Sam Pan przyzna, że zwykły człowiek nie wacha wódki, bo to nie perfumy i nie szepcze do butelki bo nie ma tu co szeptać. Ale to były dopiero mgliste podejrzenia! A tu Kołodziejczak od razu nóż w plecy...

Panie Redaktorze! Wśród naszej elity intelektualnej zdarzają się różne nieporozumienia towarzyskie, zdarza się i obwachiwanie i szepkanie i jakaś tam mokra robota, ale sam Pan przyzna, że taka ciemnota byłaby nie do pomyślenia.

Dystans między elitą a ogółem nie ogranicza się więc do spraw twórczego i nietwórczego myślenia. Dotyczy również metod działania. Inny przykład Cza-



sem pisarz albo nawet redaktor zaczyna mieć coś wspólnego z kobietą, która nie podoba się całemu środowisku. Cóż wtedy się dzieje? Następuje rzecz bardzo przykra. Całe środowisko bojkotuje tę kobietę — to znaczy odmawia z nią sypiania, że się wyrażę trywialnie, ale za to zrozumiale. Ja, broń Boże, nie bronię takiej postawy. Trudno ją nawet nazwać nowoczesną, a już jest ona bardzo nieetyczna z punktu widzenia podstawowych norm moralnych. Takiego kolegę — pisarza, albo nawet redaktora zostawia się przecież samemu sobie!

Ale przebywamy natychmiast ten dystans elity do

narodu i cóż się dzieje wśród maluczkich. Bydgoszcz. Żółnierzy idzie sobie polem, lasem, jak już wiemy, mniej więcej zdarzyć się może w najlepszym towarzystwie. Ale oto milicja łapie Kołodziejczaka i pyta go: Kołodziejczak, dlaczego ty to zrobił. I Kołodziejczak mówi: że miał dzieci i chudobę. I oto dzieci chorowały i chudoba chorowała i cała gospodarka źle szła od tych chorób wszelkiego przychówka. A dlaczego tak się działo? Sprawa jest jasna. Więc morderca „zapada”. że zamordowany Owczarek rzucił uroki na niego i jego majątek. Uroki to były nie jakieś mistyczne, ale zgola konkretne. Ktoż by bowiem w inne wierzył w naszej epoce sputników, faktów i konkretów. Cytuję protokół przesłuchania:

Cóż się okazuje? Rodzina Bolesława Kamienia — bo tak się nazywa owa umieszkodliwiona część naszych sił zbrojnych — była przeciwko jego stosunkom z ową narzeczoną. I w ten gwałtowny sposób skazywała go na więzy li tylko duchowo-platoniczne no i te pocięte na sznurach.

Może Pan, Redaktorze, przyjechać do Warszawy. Może Pan zwiedzać wszystkie piwnice należące do warszawskich salonów. Ale w żadnej nie znajdzie Pan nic prócz węgla, surowca do frytek i rękopisów. Daję Panu na to najświętsze słowo honoru.

Przyzna Pan sam, Panie Redaktorze, że nie ukrywam pewnych ciemniejszych zjawisk tu i ówdzie czasem mącących jasny horyzont naszego życia artystyczno-intelektualnego. Ale jeśli Pan chce rzucić kamieniem, a nawet Pan ma kamień, to proszę wspomnieć, że wszystko jest względne i że elitę naszą dzieli świetny dystans od narodu, który jeszcze bardziej nie dociąga do tego ideału, jak i w razie potrzeby można by ostatecznie wymyśleć.

Panie Redaktorze! Zastrzegam się: ja nie jestem przeciwko narodowi. Wprost przeciwnie. Jestem za. A nawet uważam, że zjawiska są optymistyczne i że naród się podciąga, co zmusza elitę do szybszych ruchów, żeby nie stracił dystansu. Weźmy przykład. W Grudniaku wywieszono plakaty z napisem: „Alkohol twój wróg”. Pod napisem rysunek i objaśnienie, że jak człowiek wypije setkę to coś tam, jak dwie to coś tam, jak trzy to coś tam a jak wypije pięć — umiera. Bierze, umiera i kładą go do trumny.

Naród dziś nie da się tumanić. Panie Redaktorze, Nikt nie wierzył w to, że pół litra — to już wachanie kwiatków od spodu. Myśmy niejedno przeżyli i mamy swoje doświadczenia. Naród zareagował więc zdrowym oburzeniem. I przeciwko próbom tumanięcia i przeciwko temu, że widocznie w Komitetach Antyalkoholowych brak jest rutynowanych fachowców alkoholowej branży. W co mi osobiście aż nie chce się wierzyć.

I co naród zrobił Panie Redaktorze? Naród grudniakowski w obliczu takiego wydarzenia okazał się godnym swojej elity. Podciągnął się natychmiast, wyszedł na ulicę i na plakatach pod hasłem „Alkohol twój wróg” dopisał: — lej wroga w morderce.”

Oto jak czyn pana literata Wirtha znalazł natychmiast właściwy rezonans.

Szkoda tylko, że pan Andrzej Dobosz nie jest alkoholem i nie można z niego zrobić dwuznacznika.

DWAJ MĘŻCZYŹNI ŚPIEWAJĄ GODZINKI



— Przybądź nam miłościwa, Pani, ku pomocy...
Za stalowymi drzwiami ktoś śpiewa. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Południe, upalnego letniego dnia. W banku o tej porze jest ruch, przed kasami długie kolejki ludzi wpłacających lub odbierających pieniądze. Inni, pochyleni nad stołem, starannie wypełniają weksle. Młoda kobieta, z teczką wypchaną paczkami czerwonych banknotów wychodzi z towarzystwie czujnie rozglądającego się konwojenta. Wśród pośpiechu nikt nie zwraca uwagi na szcuplego mężczyznę w okularach. Mężczyzna robi wrażenie bywalca, jest doskonale zaznajomiony z tajemnicami banku. Przed chwilą pomógł komuś wypełnić kwit, przed tem jeszcze poproszony o pomoc, wskazał innemu odpowiednią kasę.

Po godzinie tego samego mężczyzny spotkać można w popularnej kawiarni. Tym razem nie jest sam. Zdać się może, że cała trójka to urzędnicy, którzy na chwilę wypadli z biura, by napić się kawy i pogawędzić o wczorajszym robocie.

Mężczyzna w okularach sięga po papierową serwetkę. Kładzie ją na stoliku i wyjmując ołówek. Mężczyźni pochylają głowy.

— Bank, jak pamiętacie, ma kształt litery „L”. U nasady krótszego ramienia są schody prowadzące na ulicę. Tutaj jest miejsce wartownika, jednego z trzech, którzy za dnia mają dyżur. Wartownik stoi przy podwójnych drzwiach. Drzwi widziane od ulicy zrobione są z drzewa, wzmocnionego jedynie ozdobnymi okuciami. Natomiast drugie drzwi — to w rzeczywistości stalowa zasłona, wysuwana ze ściany, na poły wisząca na rolkach a na poły ślizgająca się po specjalnej szynie, którą łatwo spostrzec na podłodze. Trzecie drzwi mieszczą się w załamaniu litery „L”, oddzielając korytarz od właściwego korytarza banku. Są to drzwi wahadłowe i nikt ich nie zamyka, ale skrzypią tak, że umarłego mogłyby obudzić. O, a tutaj, w korytarzu naprzeciw drzwi stoi drewniana budka telefoniczna...

...Trzech panów w uniformach Urzędu Telefonów-nawładni wadliwie funkcjonujący automat. Ale z budki wychodzi tylko jeden, zamyka budkę na klucz i na-

kleja na drzwi papierową banderolę z pieczętkami Urzędu...

* * *

— Cholerny automat, ciągle się psuje, psoczyli pełenci Oddziału Miejskiego Banku. Telefon istotnie szwankował od pewnego czasu, a dziś na domiar złego budka, w której się mieścił, była zamknięta na klucz i opieczetowana podłużnym paskiem papieru.

— Byli już konserwatorzy z poczy, wyjaśniał cierpliwie woźny, zamknęli budkę, a jutro przyjdą, żeby naprawić. Pewnie cały aparat wymienia, bo ciągle się psuje.

* * *

Dwaj mężczyźni przez kilka godzin nie zmienili z sobą słowa. Nie wiedzą, która godzina. Opierają się plecami o drewniane drzwi, które skrzypią przy każdym, najbliższym nawet poruszeniu. Małe owalne okienko, które mają nad sobą, połyskuje bladym światłem, dochodzącym z korytarza. Naprzeciw okienka dostrzec można czarny aparat telefoniczny.

Jeden z mężczyzn odsłania tańczę zegarka. Przygląda się przez chwilę nafosforyzowanemu wskazówkom i kiwa przyzwalająco głową. Drugi mężczyzna podnosi się z klęczek i wolno, centymetr po centymetrze przybliża twarz do okienka. Z czoła spływają mu okrągłe krople potu.

Na przeciw kabiny telefonicznej są szklane, podwójne drzwi typu wahadłowego. Za nimi można dostrzec podwójny szpaler kas, odgrodzonych od korytarza ażurową kratą. Przed kasami rząd drewnianych ławek. Na jednej z dalszych śpi mężczyzna w granatowym uniformie pracownika banku. Czapkę ma nasuniętą na oczy, by go nie raziło światło. Od drzwi widać wysłużone zelówki jego trzewików i karabin, oparty o ścianę.

Na płaskim, okrągłym zegarze elektrycznym jest godzina druga minut czterdzieści. Mężczyźni zamknęli w budce telefonicznej ledwo mogą stać na zdrętwiałych po wielogodzinnym klęczeniu nogach. Później będą opowiadać, że ból był trudny do zniesienia. I znowu zegarek wędruje do oczu. Zielonkawe wskazówki pokazują jedenastą. Teraz! Klucz nr 2 zostaje wyjęty z kieszeni i bezgłośnie wsunięty

do zamka. Obrót, bezgłośnie naciśnięcie klamki i drzwi drewnianej klatki otwierają się z cichym szelestem przedzieranej banderoli.

Na korytarzu jest półmrok. Światło pada jedynie zza szklanych, wahadłowych drzwi. Stamtąd także dobiega chrapanie śpiącego. Mężczyźni podają sobie teczkę i ostrożnie kładą ją na posadzce. „Biały” wyjmuje z niej blaszaną oliwiarę i pochyla się nad zawiasami. Brunatna kropla oliwy spływa po zardzewiałym żelazie. Jeszcze górnie zawiasy i oliwiarę przejmując w swoje ręce „Hrabia”. Teraz i lewe skrzydło dostało swoją porcję. Oliwiarę wraca do teckki i Biały końcami palców, ostrożnie popycha szybę. Jeszcze centymetr, dwa i nagle nieoczekiwane, przeraźliwe skrzypienie. Mężczyźni nieruchomieją. Chrapanie strażnika urywa się, stary człowiek obraca się na bok, mamrocąc coś przez sen. Czapka przysłaniając czoło kiwa się i spada na podłogę. Biały wolno, milimetr po milimetrze cofa dłoń. Drzwi wracają na swoje miejsce, Hrabia wyciąga rękę po oliwiarę, ale ustaje w połowie tego gestu, jakby się rozmyślił. Jego wzrok wędruje po ścianie, gdzie nad szeregiem wyłączników widać metalową szafkę z bezpiecznikami.

Wojciechowi K. — strażnikowi banku w stopniu plutonowego — śnił się park Sienkiewicza, wózek z lodami i stadka puszystych gołębi. Już tak jest, że sny starych ludzi mają narrację postrzępioną i poprzecieraną zamgleniami, niby dawne filmy. Plutonowy machał szmatą, zatkniętą na końcu długiej tyki, ale w żaden sposób nie mógł nakłonić głębi, by weszły do jego klatki. Wreszcie przodownik stada usiadł na brzegu dachu i całe kołujące ptasie bractwo poszło za jego przykładem. Jeszcze dwa metry, jeszcze metr... Plutonowy ścisnął w palcach sznurek, wystarczy pociągnąć i klatka będzie zamknięta. Gołębie równym szeregiem, kołysząc się postępują coraz bliżej. Jeszcze tylko pół metra... Wtem wszystko znikło. Plutonowy przez moment nie rozumie, wpałtuje się w ciemność i wreszcie dochodzi do jego świadomości, że to po prostu zesała lampa, wisząca u sklepienia sufitu. Zarówka — myśli plutonowy, albo bezpiecznik. Zaraz zobaczmy. Siada na ławce i przeciera oczy. Cholera, chyba nie wyłączyli prądu. Trzas-

ka zapalana zapałka. Plutonowy człapiąc po posadzce idzie w kierunku szklanych, wahadłowych drzwi, wiodących do korytarza. Dochodząc zapala drugą zapałkę i zdecydowanym ruchem pociąga klamkę. Drzwi otwierają się z lekkim oporem sprężyny, ale jakby ciszej niż kiedykolwiek. Zapałka gaśnie, plutonowy robi krok w ciemność i nagle potyka się o coś nieoczekiwane. Jest tak zaskoczony, że nie potrafi się nawet zdobyć na jakikolwiek obronę.

* * *

Z NOTATEK WSTĘPNYCH OFICERA SLED-CZEGO: „Po unieszkodliwieniu strażnika wlatywawcze zawładnęły zawartością trzeciej i czwartej przegrody głównej kasy, postugu-



jąc się w obu wypadkach przenośnym aparatem do spawania. Można przypuszczać, że na przeszkodzie zamierzonemu przez nich otwarciu całości kasy stanął brak czasu.”

* * *

W rzeczywistości było nieco inaczej. Jeszcze nim Biały ukończył wycinanie drugiego zamka aparat zasyczał i zgasł. Zapalony powtórnice dał tylko niły, bładny płomyk, a i ten po chwili ustąpił. Hrabia zaklął, bo obaj z Białym pomyśleli to samo. Tu już nie chodziło o dwa zamki, chroniące pozostałe dwie części wysokiej szafy. Ważniejsze były stalowe drzwi, broniące nie tylko wejścia do banku, ale zarazem i wyjścia zeń na ulicę... Cóż z tego, że znaleźli i odłączyli aparat alarmowy, gdy jednakowoż nie sprawdzili się ich oczekiwania: strażnik nie miał przy sobie klucza i dokładne poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Bank był zamykany od zewnątrz!

Wybiegli na korytarz. Od sufitu aż do podłogi biegła gładka, stalowa płyta, pozabawiona jakiegokolwiek szczebelki. Tylko z lewej strony, na wysokości głowy okrągły otwór i podwójny szereg nitów zdawały się zwiastować obecność zamka. Jeszcze jed na próba uruchomienia aparatu i znowu słaby płomyk, który gaśnie, nie zdążywszy nawet rozgrzać metalu.

Na ulicy rosną drzewa. Hrabia nie boi się, że z któregoś mieszkania na przeciwko można go zobaczyć. Podbiega do okna. Wysoko nie jest. Raptem połowa pierwszego piętra. Ale krakoty. Wybrzuszony na zewnątrz i gęste, oglądane tylnokróć razy z ulicy i tyle samo razy uznane za niemożliwe do sforsowania.

ma czasu na próby, jeszcze chwila a zaraz się rozwidni. Pozostał jednak automat! Omal o nim nie zapomnieli.

Grzebią gorączkowo po kieszeniach. Co za pech! Daliby teraz połowę zawartości sejfu za jedną głupią pięćdziesięciogroszówkę! Mo że w któreś szufladzie? Przetrasują każdy zakamarek. Gdzie oni do diabła przechowują bilon? I nowa myśl: może on? Obracają związanym strażnikiem. Przy sięga, że nie ma ani grosza. Znowu mu przeszkadza kieszenie. Wreszcie oświeśnienie. Na ławce leży zwinięty w kostkę granatowy płaszcz plutonowego. Trzymał na nim głowę. Wywracają na wierzch kieszenie. Coś okrągłego wylatuje i toczy się pod ścianę. Hrabia przydeptuje monetę butem i boi się zobaczyć co odsłonił, aż Biały rzuci się na ziemię i podnosi. Jest pięćdziesiąt groszy!

Wpadają do kabiny, zapalają w niej światło i uważnie, jakby telefonowali po raz pierwszy w życiu przyglądają się przepisowi korytarza z automatu.

„Podnieś mikrofon z widelek:

Hrabia podnosi słuchawkę...

„Włóż monetę pięćdziesięciogroszową do otworu wrzutowego i nakręć numer po usłyszeniu sygnału”.

Biały wkłada monetę do otworu, a ta wpada z głośnym brzękiem i znika w czeluściach maszynierii. Rów nocześnie w słuchawce słychać brzęczenie. Hrabia nakręca pierwszą cyfrę, później drugą, trzecią i obie pozostałe, ale brzęczenie nie ustaje.

Biały zaczyna się śmiać, jakby mu rozum pomieszało. — Naprawiamy — mówi do Hrabiego. Ma się mundur specjalisty czy nie?

Wreszcie Hrabia łapie łom i chcąc otworzyć pudło aparatu bije weń, aż niechcący odrywa je od ściany. No, tego aparatu już żaden konserwator nie naprawi.

Tymczasem na ulicy robi się coraz widniej. Jeszcze piętnaście minut i nawet żeby wszystkie drzwi stały otworem, to i tak nikt by z banku nie zdołał wyjść bez zwracania na siebie uwagi...

Śpiewanie godzinek to ostatnia szansa, która im została.

KULTURA I PROPOZYCJE

(Dokończenie ze str. 6)

ności komisji (twierdzi, że powinna zająć się tylko uzgadnianiem funduszy na cele szkoleniowe) i do administracyjnego jej traktowania.

O tym, że istnieją wśród członków Komisji tenden-

cje przeciwne, przekonała mnie rozmowa z Edwardem Szusterem, przewodniczącym Komisji Kultury przy KŁ PZPR. Edward Szuster stwierdził mianowicie, że Wydział Kultury powinien w Komisji Koordynacyjnej sprawować szczególnie ważną, kierowniczą rolę. Komisja mogłaby stać się bowiem terenem, który umożliwiłby Wydziałowi prowadzenie polityki kulturalnej. Czy w tej chwili można mówić o takiej polityce? E. Szuster zwrócił uwagę na to, że praca Wydziału ma zbyt administracyjny, a za-

mało koncepcyjny charakter. Powstanie referatów kultury jest niewątpliwie momentem ważnym, ale nie zdajemy z Wydziału obowiązku kierowania akcją kulturalną. Nie może on pozostać tylko jedną z wielu instytucji, zajmujących się upowszechnianiem kultury i to instytucją bynajmniej nie najaktywniejszą.

Sprawy inwestycyjne są tylko jednym z odcinków pracy Wydziału, i nie można wysuwać ich na plan pierwszy kosztów innych, przynajmniej równie istotnych zadań. Ważny jest rozwój

np. muzeów, ale w chwili obecnej nie jest to pierwsza i najbardziej nagląca potrzeba. Nawet te zmiany, które orzeczywiście zainicjowały w „strukturze kulturalnej” miasta (np. powstanie nowych klubów i domów kultury) nie znalazły odbicia w budżecie Wydziału na rok bieżący. Powstawanie zespołów amatorskich nie rozwiązuje sprawy upowszechnienia, gdyż skupiają one ograniczony krąg bardziej uzdolnionych osób i nie są podbudowane szerszym ruchem kulturalno-oświatowym.

Konieczne jest poza tym przeprowadzenie inwentaryzacji placówek kulturalnych, gdyż bez tego nie jest możliwe konkretne określenie zadań na poszczególnych terenach.

Opinię E. Szustera podziela duża ilość osób obserwujących pracę Wydziału Kultury. Polityka kulturalna istotnie wymaga wszechstronnej znajomości terenu, na którym się ją prowadzi, większej samodzielności i odwagi, niż to miało miejsce w dotychczasowej pracy „kulturalnego gospodarza” naszego miasta.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

1) Jesteśmy nieco innego zdania, niż autorka artykułu. Nawet bardzo dobrej książki nie sądzimy, że warto ją czytać. Czyż nie najlepiej może zrekłamaować książkę jej autor? I tak np. w Stanach Zjednoczonych niezły pisarz, Caldwell objeżdża kraj specjalnym podziemnym, sprzedając swoje książki — przyp. redakcji.

2) Wreszcie fatalnie prowadzone jest w Klubie MPMK zaopatrzenie w nowe książki. Sprawdzenie są one według nieznanego nam bliżej klucza, który sprawia, że np. „kryminały” pojawiają się tam natychmiast, natomiast w wartościowsze pozycje trzeba czekać miesiącami — przyp. redakcji.

3) Czy ów sukces Teatru Jara-cza nie został spowodowany faktem, że Teatr ten przez dłuższy czas był nieczynny? — przypis redakcji.



Wielkie sprawy małego świata

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Zeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski.

Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzielił się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców.

Dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczacki odbyło krwawy pojedynek na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczacki został publicznie ośmieszony.

Za namową Buczackiego plutonowy Kwiatek, który również pisał nienawistne do młodzieży, aresztuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szale tu. „Tak efektywnej akcji nie notowały od lat kroniki polityczne.” Jednakże plany Buczackiego spaliły na panewce, ponieważ z opresji wyratował wszystkich Lutowiecki, syn wicewojewody.

W czasie zawodów narciarskich Buczacki dopuszcza się nowej intrygi. Dzięki „współpracy” najpikantniejszej uczennicy w mieście Porajówny, ekipa humanistów zostaje pozabawiona i miejsca.

W związku z odkryciem roli Buczackiego i Porajówny w zawodach narciarskich koleżdy organizują na Buczackiego puzłankę.

Uchwałę wykonali sportowcy pod osobistym dowództwem Florka. Nim co do czego przyszło, wywiad ustalił najpierw czas i miejsce akcji.

Młody dziedzic wynajmował w okresie zimowym elegancki pokój przy dobrej rodzinie. Należało więc ustalić dokładnie, dokąd i kiedy wychodzi, którądy i w jakiej porze wraca do swojej garsoniery — jak zwykli nie bez poczucia wyższości nazywać swój pokój.

Akcja udała się znakomicie. Buczackiego osaczono w ciemnej i pustej zazwyczaj części parku. Bronił się, trzeba mu to przyznać, jak lew, musiał jednak ulec przemocy. Posiniaczony, obolały, z trudem dowlókł się do domu. Każdy ruch ciała przypominał mu twarde pięści Florka i jego podwładnych. Opiekunowie młodego dziedzica daremnie usiłowali dojść szczegółów napadci. Buczacki zbywał ich ogólnikami.

Nieznaną osobnicę, proszą państwa... pewnie zamieszczeni — syczał z bólu. — Uch, żeby tak nie mieć ani mięśni, ani kości. Polowali na pieniądze... Bydlaki, uch, co za bydlaki... jednemu oberwałem ucho, drugiego... Ojej, nie mają państwo coś na znieczulenie... tego drugiego rzuciłem na drzewo... nie wiem, czy wyżyje.

Buczacki bez trudu poznał swoich pogromców, milczał jednak. Wyczuwał instynktownie, że jego dawni koleżdy mają w ręku silne atuty. Lepiej będzie przycałać się na razie, poczekać, aż burza minie.

Już następnego dnia nadesłał Florek odpowiedni komunikat na ręce Książęcia.

„Pan dziedzic rachuje sobie kości, to trochę potrwa” — kaligrafował wódz sportowców, co oznaczało w praktyce, iż Buczacki nie tak prędko pojawił się w szkole.

— No, to jakby nie było, mamy już dwa trupy — zauważył Dzięk — i co nam z tego?

Członków Komitetu ścisła coraz mocniej jakaś niewidzialna obręcz. Racibor ciężko chory, Buczacki ciężko pobity, a wyjścia z tego spłotu okoliczności nie widać.

— Są jakieś wiadomości? — zapytał Miazga.

— Lepiej nie mówić — westchnął Chorwat. — Służąca Tramencourtów powiadziła naszej Frani w sklepie, że jest gorzej.

— On wyzionie ducha. — Justyn ukrył twarz w dłoniach. — Ja mam to przeczuć... My mamy jakieś go pecha, nie nam ostatnio nie wychodzi.

Za kuchennymi drzwiami jęknęła boleśnie pani Słabca.

— Prześlan krakać kretynie żalony. — Tracz spojrział z niechęcią na Justynę — musimy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

— Znaleźć... musimy, ale jak znaleźć? Co tu takiego wymyślić? W piecu bużowa! wesoło ogień, przyjemne rozleniwiające ciepło ogarnęło cały pokój. W tak samo ciepłym pokoju umiera

Głosowanie przebiegło błyskawicznie. Książę poparł niechętnie kandydaturę Miazgi. Sądził, że Komitet Natychmiastowego Ocalenia wykaże więcej inteligencji i powierzy jemu misję delikatną przeciw i cieniutką jak pajęczyna. Któż jeśli nie on posiadał, w stopniu bardzo bliskim doskonałości, ów rzadki kunszt dyplomaty, oratora, który sprawia słowem, że sprawy najbardziej zawikłane i trudne rozwiązują się nieoczekiwanie, jakby ich dotknęła reka czarodzieja. Poza wszystkim, cóż za fau pas! Racibor, on i Porajówna, jaka by ona nie była, należą do jednej sfery.

Do jednego tylko nie chciał się Książę przyznać przed samym sobą. Pragnął się widzieć z Porajówną, prowadzić z nią intymną rozmowę w cztery oczy, myślał o Porajównie, ubóstwiał śliczną Porajównę. Ma gust, ta świnia Buczacki! No, ale demokraci mieli w Komitecie zdecydowaną większość i z tym faktem, rad nierad, musiał się Książę liczyć.

Miazga opierał się tylko pozornie wyborowi. Oponował skromnie, że misja jest trudna, jej wynik trudny do przewidzenia. Jeśli się nie uda, wszyscy będą mieli do niego pretensje — może więc kto inny? W Książę odżyła na krótko nadzieja. Miazga, jak on, chciał się widzieć z Porajówną, marzył o intymnej rozmowie sam na sam, w cztery oczy, myślał ciągle o Porajównie, podziwiał jej odwagę. Swoja drogą, ma gust Buczacki, i w końcu dał się wybraci.

Zazdrościł mu Książę, zazdrościł — Tracz, Justyn Socjalista, Chorwat, Dzięk i Malinka. Oni też chcieli się widzieć z Porajówną, sami, bez nikogo, myśleli o Porajównie, ubóstwiali ją, przyznawali Buczaickiemu dobry gust.

— Pierwszy psycholog w całym mieście! — Super piramidalna nasza duchowa hiper matka! — W nastroju rosnącej nadziei rozpoczęli narady. Zauważ Książę.

— Po pierwsze: nie wiadomo, czy koleżanka Porajówna zechce nam pomóc — sprawdzał nadziejnie na ziemski grunt, Fakty wskazują, że mamy do czynienia z osobą nieco cyniczną i nieobyčajną.

— Znana w starożytności kurtyzana imieniem Messalina, okazywała wiele serca rozmaitym potrzebującym — zauważył Chorwat.

— Argument zachepiły ze starożytności wydawał się wszystkim dostatecznie przekonujący. Porajówna na nowo da się porwać tak wymownemu przykładowi.

— Zatem spróbujemy? — zapytał Książę dla formalności.

— Jasne jak parasol, proste jak słońce! — Wobec tego proponuję no drugie, abyśmy wybrali delegata, który podejmie misję i doprowadzi ją do Boga, do szczęśliwego końca.

— Dostałem list od Porajówny... dopiero dziś, ona pisze do nas wszystkich.

— Udała się nam dziewczuszka — Tracz mlasnął językiem znacząco. — Pisze już do nas liściki, do mnie Bycza kobitka!

Książę skrzywił się niezadowolony. Tracz i Porajówna, cóż za niedorzeczne skojarzenie! Kwiat lotosu w rękach kmiotka od gnoju, kmiotka znad tutejszej Nidy. Niby dobry chłopak, ale straszne chamidło.

Miazga otworzył kopertę. Wszyscy powstali.

Szanowni Koleżdy! Nie mogę do każdego z osobna, piśzę więc do kolegi Miazgi,

poniekąd Waszego wystawianka. Najpierw niech mi będzie wolno wyrazić podziw kobiecie, sprytniej przecież z natury, podziw dla Waszych talentów...

Rozległ się szmer uznania. Porajówna poznała się na ich talentach, rozsądna kobieta!

Chciałam Wam odebrać zwycięstwo, zresztą bezwiednie, chodziło mi o zupełnie co innego. Przyznając, odpuścił mi zawiązkę. Słusznie przypuszczaliście, że dam się nabrać na chorobę kolegi Racibora. Byłam tam, żeby się w końcu dowiedzieć tego, co koledzy dawno wiedzieli. Skompromitowałam się, wróciłam pełna żalu do siebie i podziwu dla Szanownych Koleżdy. Owszem, wymiano mnie delikatnie, owszem dano mi do zrozumienia, że nie powinien wymieniać świetlanego imienia syna państwa T. No więc, bravo Koledzy...

Miazga przerwał. Gdyby wraz z gęstym śniegiem padały na ziemię pioruny, wrażenie nie byłoby większe.

— Demokryt mawiał, że woli znaleźć przyczynowe wyjaśnienie jednego zjawiska, niż zostać królem perskim. Ja też, panowie — Chorwat pocierał nerwowo czoło. Pozostałym członkom Komitetu wyparowały mimo zimna mózgi, milczeli więc bezradnie.

— Nie przeczytałeś jeszcze wszystkiego — odezwał się wreszczie Książę.

— Nie, bo reszta to takie sobie... prywatne uwagi.

— Myślę, że cała ta sprawa jest naszą własnością i mamy prawo wiedzieć wszystko — nalegał Książę.

Miazga oddał list Dziękowi. Nie mógł czytać dalej.

Chciałabym powiedzieć koledze M., który tak dzielnie pobit kolegę B. w obronie mojej czci, że nie zachował się godnie. Dlaczego przyjął mi się tak wstrętne, czemu zapomniał mnie o swojej wierności? Jak mógł używać mnie do ratowania człowieka, który wcale nie chorował? Czy tak sobie wyobraża zemat prawdziwego mężczyzny nad kobietą? Kolega M. jest podły, jego przyjaciela też, nie potrafili doszukać się w swoim gronie ani jednego uczciwego. Gardzę Wami!

K. P.

Dzięk złożył list i oddał go Miazdze.

— Ładna pamiątka, na całe życie starczy... Aleś jej dobrze nabrechał, niech ja w domu nie nocuję...

Powrót Racibora przypominał wjazd triumfalny Sobleskiego do Warszawy po zwycięstwie wiedeńskim. Zawsąd posypały się gratulacje i pytania o szczegóły choroby. Racibor uśmiechał się jak dawniej i odpowiadał wesoło. Tylko wprawdzie oko mogłoby dostrzec w jego zachowaniu jakiś ledwo widoczny przytomny, odrobnie sztuczności i szczyptę przesady, która pokrywała zręcznym prawdziwe oblicze Książęcia Paryża i okolic. Miazga był pewien, że Racibor nadrabia miną. Tak samo myśleli zresztą pozostali członkowie Komitetu. Zapewne dlatego postanowili się nie rozwiązywać. Przeciwnie — wyznaczyli sobie dwa trudne do zrealizowania cele: rozśmiewać tajemnicę Racibora i odzyskać dobrą opinię u pięknej Porajówny. Przez długi jednak czas niewiele mogli wskórać.

D. c. n.



Lódzki BIGOS HISTORYCZNY



CO BYŁO A NIE JEST,
PISZEMY W REJESTR

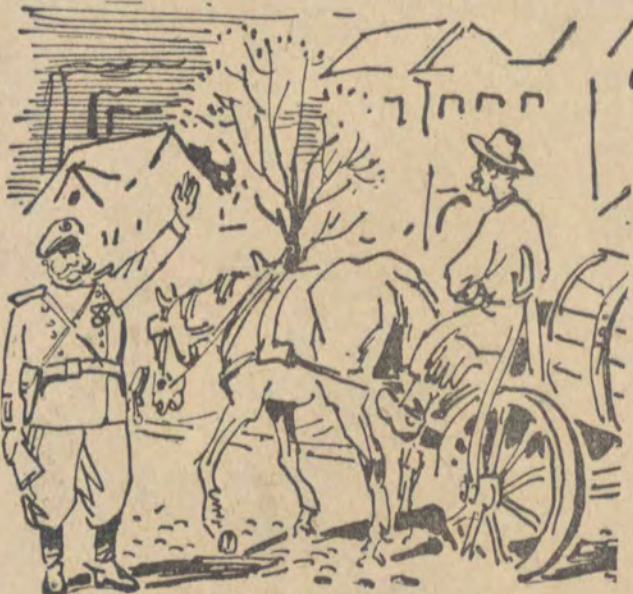
„Dziennik Łódzki” — pismo handlowe i literackie,
rok 1891 m-ce I-VI, nry 50, 60, 63, 73, 77)

RUCH BUDOWLANY W ŁODZI

W roku zeszłym (1890) rząd gubernialny piotrkowski zatwierdził przeszło 239 planów różnych zabudowań, mających stanąć w naszym mieście, w tej liczbie nowych 21 planów budynków fabrycznych.

NA PIOTRKOWSKIEJ NIE WOLNO!

Policya zmuszoną jest często pociągać do odpowiedzialności woźniców za przewożenie nieczystości ulicą Piotrkowską! Jest to wina właścicieli posesyi, którzy nie objaśniają swej służby, że nawet, śmieci itp. można wywozić tylko ulicami bocznymi, do których należą Władzewska, Wólczajska i Długa.



ZEMSTA NA STAREM MIEŚCIE

Zamieszkałe na Starem Mieście dwie przekupki od dawna poprzysięgły sobie zemstę. Onegdaj jedna z nich H. Pienkowa podczas nieobecności przeciwniczki, wpadła do jej kramu i wlała garniec naftę do beczki pełnej śledzi...

KONIE DLA BŁAZNA

Wczoraj sprzedano przez licytację 12 koni cyrkowych, za dług — kłownowi Beketowi. Był to dług dyrektorski.



RÓŻE CNOTY...

Ojciec święty, jak wiadomo rokrocznie wyszczególnia godną za panujących księżniczek lub ich córek nadaniem NAGRODY CNOTY w formie złotej róży. W tym roku papież udzielił nagrody żonie prezydenta p. Carnot, Byłby to pierwszy wypadek nadania tej oznaki żonie republikańskiego prezydenta.

BYDŁO Z WARSZAWY

Bydła stepowego dostawiono z Warszawy dla Łodzi w ciągu roku zeszłego (1890) 2,930 sztuk, najwięcej w sierpniu — 452.

TO DOPIERO...

500 RUBLI wypłacę temu, kto przy używaniu Kthes Wody do Zębów — flakon po kop. 75, kiedykolwiek dostanie znowu bólu zębów, lub wydawać będzie z ust nieprzyjemną woń! W Łodzi u M. Lisieckiej ulica Piotrkowska 254.

PIERWSZA FOTOGRAFIA NIEBA!

Z Paryża donoszą, że zgodnie z uchwałą Kongresu Astronomicznego, rozpoczęto już prace przygotowawcze do zdjęcia fotografii nieba.

Wybrał: ZDZISŁAW KONICKI

Najostrzejsze ołówki świata



CHAM- BON



Francuzi znów się liczą! Minał — zdaje się — paroletni okres wyraźnej regresji, gdy francuski humor rysowany osiągnął pewien do wysoki poziom — i skostniał. Wielcy mistrzowie karykatury — Bosc, Chaval, Douay, Peynet, Tetsu — zaczęli kopiować samych siebie, nowych nazwisk nie przybywało.

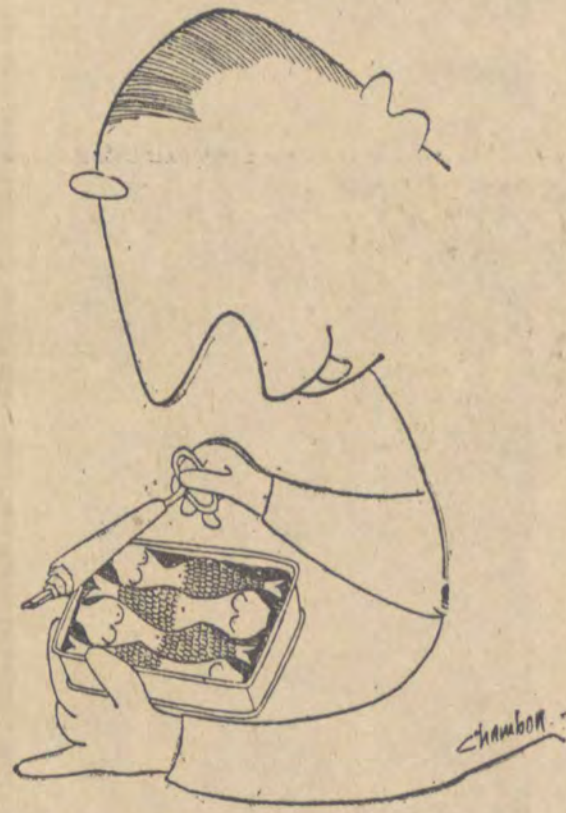
Przyczyną tego zjawiska był „w pierwszej instancji” przesyt czytelników nowoczesnymi formami żartu (bardzo staramy się uniknąć tego w naszej skromnej rubryce). Za tym poszły redakcje pism ilustrowanych, które wylały dziecko razem z kąpielą — i zaczęły drukować wyłącznie łatwy, wypróbowany „humorek”.

A jednak w ostatnich miesiącach coś się zmieniło; jak grzyby po deszczu wyrosły nowe nazwiska debiutujących karykaturzystów łamiących konwencje komercjalizmu, uprawiający żart intelektualny.

Philippe Chambon należy do najmłodszych debiutantów, liczy dziś zaledwie 24 lata. Urodził się w Beaugency, jednej z najpiękniejszych prowincji francuskich, przybył przed paru laty do Paryża — i odrzucił wszystkie propozycje „urządzenia się”. Zrezygnował z kariery wojskowej, z dobrej posady w przemyśle naftowym. Po to — by rysować.

A rysuje — znakomicie! To już zupełnie dojrzały karykaturzysta. Niewyczerpana pomysłowość, pod silnym wpływem malarstwa surrealistycznego. Stąd pewne ciągotki do makabry, które każą zaliczyć Chambona do szkoły „czarnego humoru”.

Ta tendencja jest zresztą charakterystyczna dla młodego pokolenia ambitnych humorystów. Tak właśnie rysują Otero, Gebe (przedstawiani już na tym miejscu), podobnie w nastroju dowcipu tworzy Agnese (poznamy go wkrótce). (JERT)



Nasze oredzie do narodu czytającego „Odgłosy“



unaPARK

ODPOWIEDZI NA LISTY

Jak przyrządzić tęgi bulion?

Drogi i Wielce Szanowny Panie Alfredzie Bombalo! Na reszcie doczekaliśmy się upragnionego przepisu na bulion. Podajemy go, prosząc abyś miał w pamięci to, co powie dzieliśmy na ten temat w poprzednim numerze.

Skoro więc zabezpieczyłeś sobie odpowiednio dużą dostawę energii, potrzebnej do

gotowania, kazałeś przetrząść kominy, żeby nie być zaskoczonym przez zbyt intensywne dymienie swego trzonu grzejnego; zawiadomiłeś straż pożarną o możliwościach zaopatrywania swej dzielnicy w niepotrzebną jej ilość dymu — w wypadku gdy spalać będziesz torf, słomę, węgiel brunatny, makulaturę — postarałeś się o parę lodówek do przechowywania psujących się w porze letniej elementów mięsnych, wówczas możesz już przystąpić do skupu mięsa.

Kupić odpowiednią ilość tego surowca nie jest łatwo, ale też nie trudno... Skup nówek cielęcych, pręgi wołowej, najlepiej jeśli ze zwierzęcia stułetniego, skup kur, bardzo dobrze jeśli lysych; wreszcie posiadanie niezbędnej dziczyzny, koniecznie — szlachetnej przy pomocy dubeltówek lub innych kulomiotów, nielapa-

nej w sidła, bo mięso ze zwierzyny łowionej w ten prymitywny sposób nie ma potrzebnego wigoru. i giejów, skup mięsa nie jest sprawą tak trudną jak wyjście za mąż, trafienie na loterię czy złapanie posady magazyniera w interesującej nas placówce.

A więc kup całą przęgę wołową, dwanaście kur, dwie główki cielęce, dwa przodki, kup dalej dwadzieścia cztery nówki wieprzowe, dziesięć kilo dziczyzny, włóż to mięsowo do garnków i gotuj... Gotuj je przez siedem dni i siedem nocy, ciągle mieszając rosół i szumując je, ciągle studząc je i ciągle podgrzewając, dopóty, dopóki bulion nie nabierze tej spistości i gęstości, że formowana, zeń kula spuszczone z trzeciego piętra na podwórze twej posesji, będzie się odbijała co najmniej przez pięć minut na wysokość pierwszego piętra, lub nabita w armacie i wystrzelona z niej w stalową tarczę, prostopadłe i w warunkach bezwietrznych, będzie wracała do swego

punktu macierzystego co najmniej dziesięć razy nie obniżając swego lotu na skutek działania wszechpładnej siły ciężenia; albo, gdy bulion, użyty do klejenia desek, zewzrze je tak silnie, że dwie pary koni nie będą mogły ich rozdzielić.

Jeśli więc sprawdziłeś jego gęstość, przesuszaj go w



chłodnym przewiewnym miejscu, a dopiero potem dziel i rozpuszczaj; i częstuj nim biesiadników, pamiętając, że roztwór tylko wówczas wywołuje uśmiech na ich twarzach, jeśli tężeje na wargach i zlepia je tak zabawnie, że nieraz trzeba użyć noża, żeby je rozdzielić, ba! W wypadku z'epienia trzeciego stopnia, gdy nasz organ mówienia staje się bezwładny wskutek jego zaklejenia, trzeba go dobrze przeszprycować wodą, żeby go znowu uczynić zdatnym do pełnienia swych powinności.

Zasyłamy serdeczne życzenia rocznicowe dla komicznego Krzysztofka, czcigodnej Małzonki i biesiadników czekających na finał Twego radosnego eksperymentu. Ciao, ciao, dzielna podpora rodziny!



Redaguje Zespół * Wydawca W. Jawniak W. Prasow „Prasa Łódzka” * Adres redakcji Łódź, Piotrkowska 24. Tel. 24-78 * Wszelkie prenumeraty miesięczne 4.— zł kwartalne 12.— zł * Redakcja nie zamawia rekonesansów nie zwraca * Prenumerate otrzymuje wszystkie pisma tygodniowe, tygodniowe oraz PUPK „Ruch” — z zapasem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 11 Zł. 2072. VII 1960 r.

„Gorąca jest moja tęsknota“

Gorąco się robi na myśli jakie jeszcze tytuły mogą przyść do głowy redaktorom z działy opracowań filmów zagranicznych. Film szwedzki mówi nie tyle o „gorącej tęsknocie“ co o ważnych problemach, które powinny być rozpatrywane rozsądnie i na zimno, chodzi tu mianowicie, o świadome macierzyństwo, sztuczne poronienia, ich konsekwencje fizjologiczne i moralne. A więc film o rzeczach ważnych, na pewno nie banalnych, nie takich, jak to pró-

buje sugerować polski tytuł.

Czy jednak film przekonuje widzów? Niestety, reżyser nie mógł zdecydować się na wybór między publicystyką a schematycznym melodramatem. Powstał z tego wszystkiego dziwny zlepek z czarnymi jak smoła i białymi jak śnieg bohaterami, których same sylwetki mówią o ich diabelskim lub anielskim wnętrzu.

Reżyser snuje opowieść na tle mało typowego środowiska lekarzy, próbując jednocześnie przy okazji pro-

pagować niestety wielodzietność rodziny. Oczywiście jest to w tym wypadku prywatny pogląd recenzenta, bo żadna dyskusja na ten temat nie przyniosła definitywnych wniosków.

Omawiany film na pewno stanowi ledwie materiał do takiej dyskusji. I chyba tylko pod tym kątem należy ogłądać ten przeciętny utwór. Nie każdy szwedzki reżyser tworzy dzieło na miarę dzieł Ingmara Bergmana...

A. NIEŚMIALEK



MŁODZIUTKA SOLISTKA z filmu amerykańskiego „Bongo“

EKRANIK

OTRZYMALISMY WYJAŚNIENIE Miejskiego Zarządu Kin, że z powodu „niskiej frekwencji w okresie urlopów letnich“, działalność Kina Aktualności zostaje zawieszona aż do sezonu jesiennego. Ano, zobaczymy jesienią. Jedno jest pewne: jeśli repertuar „Aktualności“ będzie znów układany tak bezmyślnie jak dotąd — o lepszej frekwencji nie ma co marzyć.

KTO BY POMYŚLAŁ, że amerykański Wielki Spór między filmem a telewizją znajdzie reperkusje także w Polsce. Okazuje się, że kupowane przez nas filmy USA, przeznaczone dla kin — w żadnym wypadku nie mogą być wyświetlane w telewizji. Takie warunki stawia eksporter, a my — chcąc nie chcąc — musimy się z tym godzić.

A JEDNAK ZOBACZYMY znakomity, choć wielce dyskusyjny film Alain Resnais — „Hiroshima, moja miłość“. Po długich — nieco uzasadnionych namysłach — Filmowa Rada Repertuarowa zakwalifikowała „Hirozimę“, na nasze ekrany.

PODOBNO...

PODOBNO... na Festiwalu w Wenecji — Polskę reprezentować ma film Aleksandra Forda „Krzyżacy“. Natomiast na Festiwal w Berlinie Zachodnim nie wysyłamy nic...

Mój Boże, gdyby to ode mnie zależało — postąpiłbym akurat odwrotnie... DONALD



ISABELLE LOREY — aktorka niemiecka

„W czepku urodzeni“

Film Hoffmana wywodzi się niewątpliwie z kręgu oddziaływań Bertolda Brechta. Pewne akcenty polityczne, pomieszanie gatunków i prowadzące akcje piosenki — to właśnie owe brechtowskie elementy.

„W czepku urodzeni“ to jednocześnie pewien rodzaj filmowego kabaretu. Zdawałoby się więc, że Brecht i dobry kabaret mogą dać w efekcie dzieło o silnej wymowie politycznej. Film Hoffmana mimo momentów ostrej satyry na hitleryzm, prześlizguje się jednak czasami nad pewnymi sprawami przeszłości i obecnej rzeczywistości Niemiec. Często zaledwie dotyka problemów, które wymagałyby większej, właśnie brechtowskiej ostrości spojrzenia. Drażnią więc — chwilami najwinnie potraktowane — koleje losu czy motyw postępowania „pozytywnego Niemca“. Razi w tego typu politycznym filmie zbyt powierzchowne podjęcie spraw żydowskiej.

Odnosi się chwilami wrażenie, że autorzy zrobili unik przed podjęciem problemu ogólnonarodowej winy.

Znacznie lepiej wypadły tu partie satyr, próby rozrachunku z hitleryzmem i jego przedstawicielami, aniżeli zamiar przeciwstawienia im grupy „sprawiedliwych“. Mimo wspomnianych wyżej zastrzeżeń, próba tego rozrachunku, stanowi jedną z najciekawszych i najostrożniejszych w zachodniemieckim filmie powojennym.

„W czepku urodzeni“ ukazują fragmentaryczny przekrój losów pokolenia, które

rozpoczęło życie na gruzach cesarstwa pruskiego i przeszło kolejno okres początków hitleryzmu, jego szczytu i klęski, a w nowych, powojennych czasach stanoło znów wobec faktu jego odradzania.



Aby ten okres czasu i historii pokazać, użyto w filmie ciekawego chwytu — dwaj kabaretni artyści pokazują nam film o życiu dwóch szkolnych kolegów Hansa (H. Felmy) i Bruna

(R. Graf). Film ten często się urywa. Jego poszczególne akty znajdują w kabaretowej, politycznej piosence swój komentarz.

W narracji tego typu nie trzeba się liczyć ani z czasem, ani z czystością gatunku. Toteż na ogół nie razi, że oglądamy kolejno zdarzenia oddzielone kilkoma latami, że jedna partia filmu utrzymana w konwencji groteskowej, oddzielona jedynie piosenką — sąsiaduje z sekwencją prawie dramatyczną.

Realizatorzy nadali filmowi tempo i błyskotliwość, która pochłania widza całkowicie. Tak, jak w kabarecie nie można stracić żadnego fragmentu, bo pocięta czy aluzja staje się niejasne.

Do mocnej strony filmu należy również aktorstwo, reprezentowane przez głównych bohaterów i uroczą J. von Koczian. Polecając „W czepku urodzonych“, przypominać przy okazji, że film ten otrzymał złoty medal na festiwalu w Moskwie w 1959 roku.

EWA NURCZYŃSKA



Jedna z bohaterek filmu „Kolorowe pończochy“.

